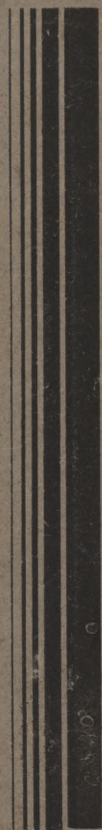




JÓZEF

PIŁSUDSKI

O SOBIE



JÓZEF PIŁSUDSKI
O S O B I E

JÓZEF PIŁSUDSKI O SOBIE

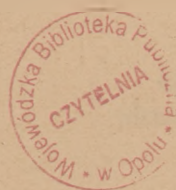
Z PISM, ROZKAZÓW i PRZEMÓWIEŃ
KOMENDANTA

Kolekcja
Emila Kornasia

Zebrał i wydał
Z. ZYGMUNTOWICZ

WARSZAWA — LWÓW
NAKŁADEM „PANTEONU POLSKIEGO” WE LWOWIE.

Copyright by „Panteon Polski” 1929
Wszelkie prawa zastrzeżone



CM KEK

317403

Odbito w Lwowskiej Drukarni Nowoczesnej, Pasaż Mikolascha. — Telefon 216-76

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 72/2012/CM

Nazwałem siebie socjalistą w roku 1884-ym. Mówię — nazwałem, bo nie oznaczało to wcale nabycia niezłomnych i utrwalonych przekonań o słuszności idei socjalistycznej. Byłem wówczas w gimnazjum wileńskim, należałem do kółka „Spójnia”, zawiązanego kilka lat przedtem, i razem ze swymi kolegami uległem modzie socjalistycznej, którą nam przywieźli starsi koledzy, studenci uniwersytetu petersburskiego. Otwarcie wyznaję, że było to modą, bo inaczej trudno mi nazwać ówczesną epidemję socjalizmu, która ogarnęła umysły młodzieży rewolucyjnie, czy tylko opozycyjnie usposobionej. Ogarnęła zaś do tego stopnia, że nikt z inteligentniejszych i energiczniejszych mych kolegów nie uniknął w swym rozwoju przejścia przez etap socjalistyczny. Jedni zostali już socjalistami, drudzy przeszli do innych obozów, trzeci wreszcie wyrzekli się wszelkich aspiracji społecznych, lecz każdy z nich przez czas dłuższy lub krótszy był socjalistą.

Przedewszystkiem więc, mówiąc o sobie, muszę wyjaśnić, czemu byłem w owym czasie rewolucyjnie usposobionym. Urodziłem się na wsi, w szlacheckiej rodzinie, której członkowie zarówno z tytułu starożytności pochodzenia, jak i dzięki obszarowi posiadanej ziemi należeli do rzędu tych, co niegdyś byli nazywani *bene nati et possessionati*. Jako *possessionatus* nie zaznałem długo żadnej troski o materialne rzeczy i otoczony byłem w dzieciństwie pewnym komfortem. A, że rodzeństwo moje było liczne i rodzice względem nas byli bardzo łagodni i serdeczni, mógłbym nazwać swe dzieciństwo — sielskiem, anielskiem. Mógłbym — gdyby nie zgrzyt jeden, zgrzyt, który sępił czoło ojca, wyciskał łzę z oczu matki i głęboko się wrażał w mózgi dziecięce. Tym zgrzytem było świeże wspomnienie o klęsce narodowej 1863 roku (urodziłem się w 1867 r.).

Matka, nieprzejednana patrijotka, nie starała się nawet ukrywać przed nami bólu i zawodów z powodu upadku powstania, owszem wychowywała nas, robiąc właśnie nacisk na konieczność dalszej walki z wro-

giem ojczyzny. Od najwcześniejszego dzieciństwa zaznajamiano nas z utworami naszych wieszczów, ze specjalnem uwzględnieniem utworów zakazanych, uczono historii polskiej, kupowano książki wyłącznie polskie. Ten patryjotyzm rewolucyjny nie miał określonego kierunku społecznego. Matka z naszych wieszczów najbardziej lubiła Krasin-skiego, mnie zaś od dzieciństwa zachwycił zawsze Słowacki, który też był dla mnie pierwszym nauczycielem zasad demokratycznych. Były one naturalnie u dziecka bardzo niejasne i mgliste, lecz przy moim ży-wym i nieco przekornym charakterze, utrwały się przy każdym spórce, które niekiedy matka żartem prowadziła.



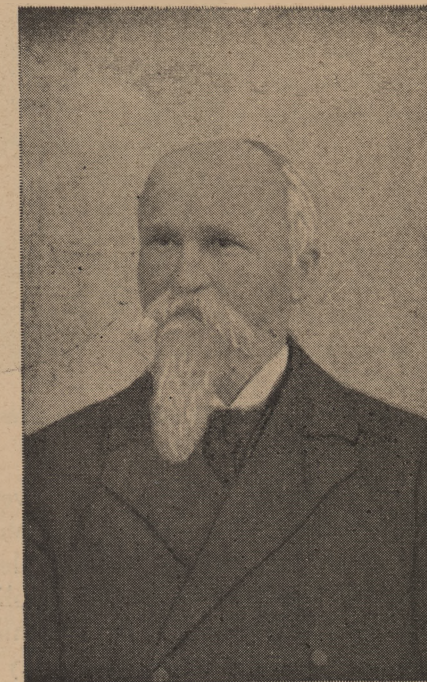
Dom rodzinny w Żuławie (Wileńskie)

Po za książkami tyczącymi się Polski, czytałem dosyć dużo najróż-norodniejszych książek, wszystko co mi tylko nawinęło się pod rękę. Najwyższe wrażenie sprawiały na mnie książki opisujące byt narodów klasycznych — greków i rzymian. Prawdopodobnie dlatego, że były przepelnione szczegółami walk o Ojczyznę i opisami bohaterskich czy-nów. Oprócz tego byłem rozkochany w Napoleonie i wszystko, co się tego mego bohatera tyczyło, przejmowało mnie wzruszeniem i rozpalało

wyobraźnię. Wszystkie zaś marzenia moje koncentrowały się wówczas koło powstania i walki orężnej z moskalami, których z całej duszy nie-nawidziłem, uważając każdego z nich za łajdaka i złodzieja. To ostatnie zresztą było zupełnie usprawiedliwionem. W owym czasie Rosja wylała na Litwę szumowiny swoje, najpodlejsze elementy, jakie posiadała, a opowiadania o łajdactwach i barbarzyństwie tej hordy Murawiewa były na ustach wszystkich.

Zaznaczyć jeszcze dla ścisłości muszę, że matka od najwcześniej-szych lat starała się rozwinąć w nas samodzielność myśli i podniecała uczucie godności osobistej, które w moim umyśle formułowało się w sposób następujący: Tylko ten człowiek wart nazwy człowieka, któ-ry ma pewne przekonanie i potrafi je bez względu na skutki wyznawać czynem.

Z takim usposobieniem i poglądami, o ile dziecinne myśli poglą-dami można zwać, wszedłem w progi szkolne. Zostałem uczniem pier-



Rodzice Mąrszatka.

wszego gimnazjum wileńskiego, mieszczącego się w murach dawnego uniwersytetu wileńskiego, byłej *alma mater* Mickiewicza i Słowackiego. Wyglądało tu naturalnie inaczej niż za ich czasów. Gospodarzyli tu, uczyli i wychowali młodzież pedagodzy carscy, którzy do szkoły wnosili wszystkie namiętności polityczne, a za system mieli możliwe zgnębienie samodzielności i godności osobistej swych wychowanków. Dla



Józef i Bronisław Piłsudscy w latach dziecięcych.

mnie epoka gimnazjalna była swego rodzaju katorgą. Byłem co prawda chłopcem dosyć zdolnym, nigdy się nie zamęczałem pracą i z łatwością przechodziłem z klasy do klasy, lecz gniotła mnie atmosfera gimnazjalna, oburzała niesprawiedliwość i polityka pedagogów, nużył i nudził wykład nauk. Wołowej skóry by nie starczyło na opisanie bezustannych poniżających zaczepki ze strony nauczycieli, hańbienia wszystkiego, com się przyzwyczaił szanować i kochać. Jak silnem było wrażenie tego systemu pedagogicznego na mój umysł, można sądzić z tego, że dotąd jeszcze, gdy już przeszedł przez więzienia i Sybir i miał do czynienia

z czynownikami różnego gatunku, w każdym przykrym śnie odgrywa taką lub inną rolę którykolwiek z moich miłych pedagogów wileńskich.

W takich warunkach nienawiść moja do carskich urzędów, do ucisku moskiewskiego wzrastała z rokiem każdym. Bezsilna wściekłość dusiła mnie nieraz, a wstyd, że w niczem zaszkodzić wrogom nie mogę, że muszę znosić w milczeniu deptanie mej godności i słuchać kłamliwych i pogardliwych słów o Polsce, Polakach i ich historii, palił mi policzki. Uczucie przygnębienia, uczucie niewolnika, którego w każdej chwili, jak robaka zgnieść mogą, leżało mi na sercu kamieniem młyńskim. Lata mego pobytu w gimnazjum zaliczam zawsze do najprzykrzejszych w swym życiu.

Marząc ciągle o powstaniu, zacząłem się wówczas zastanawiać, czemu dotychczasowe się nie udały. Książek odpowiednich nie było, kłopoty majątkowe nieco oddaliły moich rodziców od dzieci, w rozmowach zaś starszych o ostatnim powstaniu mówiono bardzo mało, a to co mówiono, było dla mnie wstrętnem — uważano bowiem, że powstanie było, nie tylko błędem, lecz i zbrodnią. Ze specjalną więc ciekawością czytałem to, co mogłem dostać, o rewolucji francuskiej. Podłoża społecznego tego ruchu naturalnie nie rozumiałem, natomiast byłem zachwycony zapałem i zjadłością rewolucyjną, oraz udziałem wielkich mas ludowych. A gdy się zapytałem, czemu my, Polacy, nie zdobyliśmy się na taką energję rewolucyjną, znalazłem jedyną odpowiedź — byliśmy i jesteśmy gorsi od Francuzów. Był to wielki cios zadany mojej dumie narodowej, lecz czekał mnie jeszcze silniejszy. W owe czasy głośną była na całym świecie walka „Narodnej Woli“ rosyjskiej z caratem. Odgłosy tej walki dochodziły naturalnie do Wilna i bohaterstwo jej nie mogło nie imponować mojej romantycznej głowie. Zarazem w Polsce było cicho. „Proletariat“, który wówczas działał w Warszawie, o tyle był słabym, że wpływy jego prawie nie dochodziły do Wilna, a poza nim w społeczeństwie polskim, wyczerpanym walką 1863 roku, było tyle strachu, tyle czarnej reakcji, tyle oburzenia na każdą myśl żywszą, że porównanie Rosji z Polską wypadało wówczas dla mnie zawsze na korzyść Rosji. Byłem tem wprost upokorzony i stałem na rozdrożu.

W tym właśnie czasie przyszła socjalistyczna moda. Moda ta dla nas, wilnian, szła z Wschodu, z Petersburga. Dla siebie osobiście uważam to za szczęście. Gdybym się spotkał w owym czasie z socjalizmem warszawskim, negującym otwarcie sprawy narodowościowe i występującym przeciwko tradycji powstańczej, byłbym tak opornym na jego

wpływy, że razem z tymi niepotrzebnymi według mnie dodatkami, odrzuciłbym i samą ideę socjalistyczną. Petersburski socjalizm nie wymagał tej ofiary odemnie, a zarazem dawał mi pewną nić przewodnią, pewien światopogląd, który wobec rozbicia poprzedniego z łatwością zajął jego miejsce.



W młodzińskich latach.

Petersburski, a raczej rosyjski ówczesny socjalizm nie był wcale tem, co obecnie ludzie nazywają tem imieniem. Była to dosyć dziwna mieszanina krytyki socjalistycznej burżuazyjnego ustroju z anarchistycznym ideałem samorządnych komun, oraz z reakcyjną do pewnego stopnia wiarą w naród rosyjski, w którym, jakoby w przeciwieństwie do burżuazyjnego Zachodu tkwiły pierwiastki komunistyczne w całej

okazałości. Dla Europy socjalizm ten był nadkrytycznym, dla Rosji zaś pobłażliwym i w owym czasie przetwarzał się w najzwyczajniejszy radykalizm inteligencki, w którym ów mesjanizm rosyjski służył, jako parawanik dla zakrycia braku pracy nad podniesieniem świadomości rosyjskiego ludu pracującego.

W umysłach młodzieży polskiej w Wilnie ten dziwny socjalizm przełamywał się w sposób rozmaity. Niektórzy, pod jego wpływem, rusyfikowali się zupełnie i zrywali ze wszystkim, co polskie. Inni — a do tych należałem i ja — przyjmowali do pewnego stopnia, naturalnie bez sprawdzenia, twierdzenia rosyjskie o ich narodzie, natomiast główną zwracali uwagę na krytykę ustroju burżuazyjnego w Europie, którą to krytykę naturalnie przenosiliśmy i na swoje własne społeczeństwo. Studja swoje nad socjalizmem odbywaliśmy, czytając rozmaite rosyjskie utwory publicystyczne, dzieła Lavelaye'a i Iwaniukowa. Co do mnie, rosyjskiej publicystyki — Dobrolubowych, Pisarewych, Czernyszewskich, Michajłowskich — nie znośłem. Nużyła mię ta rozwlekła gadanina, niejasna i mglista z mnóstwem aluzji do wypadków z życia społecznego i literackiego Rosji, która dla mnie była zupełnie obcą. Parę rzeczy tych pisarzy, którzy stanowili niezbędną szkołę każdego z socjalistów rosyjskich, przeczytałem dopiero na wygnaniu, kilka lat potem, i przyznam się, zwykle działały one na mnie strasznie usypiająco.

Takim, płytkim bardzo socjalistą, wyruszyłem w 1885 roku do uniwersytetu charkowskiego. Polska młodzież, którą tu zastałem, nie zaimponowała mi. Była dosyć apatyczną, bez żadnych silniejszych aspiracji społecznych, ci zaś, co je mieli, byli prawie zupełnie zrusyfikowani. Rosyjscy studenci byli bardziej żywi, energiczni i ruchliwi. Starano się wciągnąć mnie do organizacji studenckiej „Narodnej Woli”, lecz stanowczo się temu oparłem, chodziłem tylko na posiedzenia kilku kółek samokształcenia, gdzieśmy czytali również nudnego dla mnie Ławrowa. Książek polskich było tu mało, tęskniłem więc do kraju i do innego środowiska. Nieco zelektryzowała mię wiadomość o „Proletariacie” w Warszawie — akurat wówczas odbywał się sąd nad proletariatchykami, lecz żadnych informacji o nim wówczas zasięgnąć nie mogłem. Przyszedłem tylko do przekonania, że trzeba zawiązać jakąś organizację, któraby wypracowała program roboty socjalistycznej i u nas w domu.

Z tą myślą zwierzyłem się z tego projektu paru kolegom wilnianom po powrocie z uniwersytetu na wakacje. Koledzy zgodzili się na to i uformowało się kółko, składające się ze studentów petersburskich oraz

mnie i kilku kolegów, którzy po ukończeniu gimnazjum pozostali w Wilnie. Postanowiliśmy wydawać dla siebie samych pisemko hektografowane i pracować nad wypracowaniem programu, odpowiadającego potrzebom kraju. Wobec tego, że dzięki drobnym uchybieniom formalnym władza uniwersytecka w Charkowie wzbraiała się przyjąć mnie na następny rok do uniwersytetu, postanowiłem rok ten pozostać w Wilnie, by potem jechać zagranicę dla dalszego kształcenia się.

W tym to czasie trafiły mi do rąk po raz pierwszy broszurki socjalistyczne polskie — Młota „Kto z czego żyje” i Liebknechta „W obronie prawdy”. Podobały mi się one znacznie więcej i trafiły bardziej do przekonania, niż czytane dotychczas odpowiednie wydawnictwa „Narodnej Woli”. Zatem postanowiłem bliżej się zapoznać z samym socjalizmem i przeczytałem po rosyjsku pierwszy tom „Kapitału” Marksa. Nie powiem, by ta lektura sprawiła na mnie wielkie wrażenie. Chociaż wpływ rosyjski był niewielki, zdołał jednak zrobić pewne anarchistyczne spustoszenia w mej głowie. Abstrakcyjna logika Marksa oraz panowanie towaru nad człowiekiem nie pasowało do mego mózgu. W każdym razie lektura ta pogłębiła znacznie moje poglądy na społeczeństwo i bezwiednie zacząłem ulegać wpływowi logicznie zbudowanej koncepcji Marksa.

Zresztą nie bardzo miałem czas na zastanawianie się nad sprawami teoretycznymi. Prowadziłem parę kółek samokształcenia, zawiązałem trochę stosunków z robotnikami wileńskimi, zbierałem książeczki ludowe, hektografowałem nasze pisemko. Roboty było huk. Kółko nasze programu żadnego nie wypracowało, wyklarowało się jedynie, że wszyscy kładziemy nacisk na sprawę obrony od brutalnego wynaradawiania ludu, praktykowanego przez rząd rosyjski na Litwie. Z polskim ruchem w Królestwie nie mieliśmy nic wspólnego, bo był to czas zupełnego rozbrojenia „Proletariatu”.

Na początku roku 1887-go zostałem aresztowany w sprawie zamachu na życie Aleksandra III., do której to sprawy, ja i brat starszy, wówczas student petersburskiego uniwersytetu, wypadkowo byliśmy zamieszani. Brat poszedł na katorgę, mnie skazano na 5 lat wygnania do Wschodniej Syberji. I tu dopiero, gdy spokojnie mógł rozmyślać nad wszystkim, com przeszedł, stałem się tem, czem jestem.

Przedewszystkiem wyleczyłem się gruntownie z resztek ówczesnego rosyjskiego wpływu i przy bliższem poznaniu, jak mnóstwa przedstawicieli ruchu rosyjskiego, tak również i literatury oraz publicystyki rosyjskiej przestałem przeceniać znaczenie i siłę rewolucji rosyjskiej.

W ten sposób oczyściłem sobie niejako drogę dla wpływów zachodnio-europejskich. Następnie w Syberji, gdzie wobec braku kultury, czynniki społeczne występują bez osłonek w całej swej nagości, przyjrzałem się bliżej maszynerji caratu, oraz jego wpływowi na życie ludzkie w samej Rosji i znienawidziłem ten potwór azjatycki, pokryty pokostem europejskim, jeszcze bardziej. Wreszcie rozmyślanie i książki (tu zniechęcony Spencerem, przeczytałem jeszcze raz Marksa) ugruntowały mnie w socjaliźmie. Zrozumiałem wówczas, że nie jest on tylko ideą szlachetnych ludzi, marzących o uszczęśliwieniu ludzkości, lecz staje się realną potrzebą ogromnej masy ludu pracującego z chwilą, gdy kulturalny i społeczny rozwój umożliwia mu zrozumienie zasad tej idei.

A gdy się zastanawiał nad narodem, z którym mnie wiązało wszystko, co boli, wszystko, co we mnie myśli i wszystko, co czuje, przechodziłem do przekonania, że moje dziecinne marzenia i rojenia zespalały się z moim młodzieńczym światopoglądem. Socjalista w Polsce dążyć musi do niepodległości kraju, a niepodległość jest znamienym warunkiem zwycięstwa socjalizmu w Polsce.

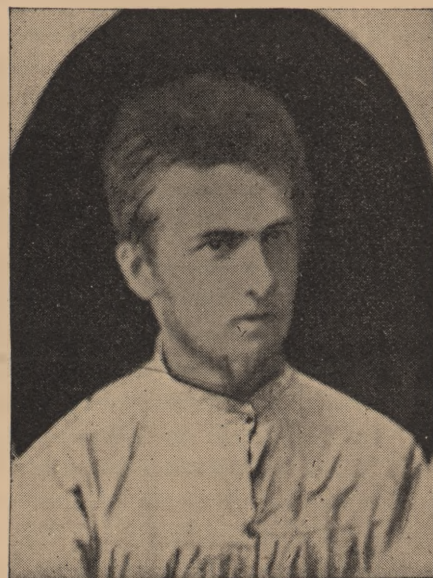
Na Syberji również poznałem dokładniej pierwsze kroki socjalizmu w Polsce. Jako kolegów wygnania miałem tow. Landego i kilku proletarijczyków, oprócz tego miałem możność przeczytania wielu socjalistycznych wydawnictw polskich, z którymi nie spotykałem się w Wilnie.

Ostatecznie postanowiłem po powrocie do kraju wstąpić do „Proletariatu” i starać się o zreformowanie go w kierunku, który obecnie nazywa się P. P. S-owym. A, że byłem odcięty od kraju i dalsze (po 1887 roku) ewolucje socjalizmu u nas były mi nieznane, z tem postanowieniem przyjechałem do domu w drugiej połowie 1892 roku i... ku wielkiej swej radości przekonałem się, że moja zamierzona praca reformatorska już jest zbyteczną.

(*Promień* 1903).

Niewielka grupka wygnańców, złożona z dwudziestu kilku ludzi, za którymi w końcu września 1887 roku zamknęła się brama więzienia irkuckiego, nie oieszyła się dobrą opinią u władzy. „Buntujuszczaja partija” — tak mówiono o niej z powodu ogona protokołów, który włókł się za nami w nudnej, trzymiesięcznej podróży po etapach sybirskich. Protokoły były skutkiem różnych starć z oficerami — komendantami etapów i władzą więzienną w paru miejscach.

Jeden z oficerów, gdzieś w gubernji Jenisiejskiej, po awanturze z nami napisał na nas donos, żeśmy wylamali w etapie dach w celu ucieczki, co było wierutnem kłamstwem. Wyższa władza, przestraszona tą rzekomą próbą ucieczki oraz oburzona na naszą bezczelność



Z czasów w Kiryńsku na Syberji (1888 r.)

w stosunku do owego oficera, dała depeszę do wszystkich oficerów, z którymi w drodze mieliśmy się spotkać, depeszę, nakazującą w o-
bejściu z nami być „grzecznym ale srogim”, a w razie jakiegokol-
wiek oporu zakuwać nas wszystkich w łańcuchy ręczne i nożne.

Ten dziwny okólnik stawiał prawie każdego oficera, napotkanego w drodze, na stopie wojennej względem nas — oto główny powód protokołów o różnych zajściach pomiędzy nami a oficerami eta-
powymi.

Muszę się jednak przyznać, że w wielu wypadkach my sami byliśmy winni przy tem lub owem zajściu. Wymagaliśmy nieraz od oficerów lub władzy więziennej rzeczy nielegalnych, takich, które stoją w sprzeczności wyraźnej z ustawą więzienną. Wymagania na-
sze, przed którymi niejednen z oficerów ustępował dobrowolnie, bez żadnego nacisku, wywoływały nieraz awantury, gdy się miało do czynienia z oficerem, który za nie przewodził w stosunku z nami obrał sobie nie pierwszą, lecz drugą połowę nakazu wyższej władzy i postanowił być nie tyle „grzecznym”, co „srogim”. Wszystkie jednak awantury kończyły się zwykle protokołem, spisany z po-
vodu zajścia w asystencji władz miejscowych.

Tak dowiekliśmy się wreszcie do Irkucka, skąd połowa naszej grupy miała się rozjechać, a raczej być rozwieziona pojedynczo do poblizszych punktów, wyznaczonych im jako miejsce wygnania. Reszta musiała czekać na ustalenie się drogi zimowej na rzece Lenie, po której droga prowadzi w dalsze, północne strony Syberji. Ja należałem do tej reszty, byłem bowiem naznaczony przez gu-
bernatora irkuckiego do Kireńska, miasteczka powiatowego, leżą-
cego o 1000 wiorst od Irkucka na północ.

Po tygodniu niewoli irkuckiej zostało nas trzynastu przeznac-
zonych na Lenę. Czekać mieliśmy dosyć długo, bo droga w po-
łudniowej części Leny ustanawia się na stałe dopiero w listopadzie i władza chciała doczekać następnych transportów wygnańców, by eksportować na Lenę odrazu większą ilość ludzi. W oczekiwaniu wyjazdu rozgościliśmy się w więzieniu. Ośmiu z nas mieszkało „w sekretnym korytarzu” — w sześciu celach. Reszta — pięciu i ja pomiędzy nimi — w osobnej, dużej celi na parterze więzienia. Cella ta była naszym klubem i jadalnym pokojem, konstytucja bowiem więzienna pozwalała nam na włóczęgę po więzieniu w przeciągu dnia całego bez przeszkody. Zamykano nas w celach tylko na noc — od 6-tej wieczorem do 6-tej rano.

Oprócz nas, trzynastu mężczyzn, w skrzydle więziennem prze-
znaczonem dla kobiet, były trzy towarzyszki, mające również

w przyszłości jechać z nami na Lenę. Miały one w swem rozporządzeniu aż sześć cel w „sekretnym” korytarzu oddziału kobiecego.

Czas spływał na rozmowach o przeszłości, o warunkach wygnania, na szachach, czytaniu książek. Od czasu do czasu wpadało do więzienia wyższe jakie „naczalstwo” pułkownik żandarmerji, prokurator, policmajster, nawet sam generał-gubernator Wschodniej Syberji hr. Ignatjew. Każda nieledwie z tych wizyt była dla nas przykrością, każdy bowiem z tych panów uważał nasze położenie za zbyt dobre i zwracał uwagę dyrektorowi więzienia, pocziwemu lecz słabemu człowiekowi, na konieczność rygoru więziennego. Nie brakło też i pretensji z naszej strony.

Tak więc, prokurator oberwał od nas za zatrzymywanie naszych listów przez czas dłuższy. Spostrzegliśmy, że listy od naszych krewnych i bliźnich, listy, których z takim upragnieniem oczekiwaliśmy, leżały u pana prokuratora tygodniami całymi, dopóki wreszcie raczono je przejrzeć i odesłać do więzienia. Oburzeni posłaliśmy wszyscy jednobrzmiące, nieco obraźliwe komunikaty swoje do prokuratora, zwracając mu uwagę na niestosowność takiego postępowania. Prokurator okropnie się obraził na nas i zaczął nastawać by zmniejszono nasze przywileje więzienne.

Zdarzył się jednak wkrótce wypadek, który przyspieszył katastrofę, wiszącą i tak nad głową „buntowników”. Jeden z naszych kolegów niejaki Cejtlik, miał jako narzeczoną jedną z towarzyszek. Pozwolono im widywać się codzień w kancelarji więziennej w przeciągu godziny. Otóż razu pewnego w czasie takiego widzenia, wszedł do biura więziennego pan policmajster. Kolega C. nie zauważył go i nie powitał go ani ukłonem, ani słowem. Policmajster wpadł na niego, wymyślając mu po grubiańsku. Kolega C. nie został mu dłużny w odpowiedziach. Policmajster rozwścieklony kazał go wsadzić na trzy dni do karceru, lecz nim wyrok został wykonany, C. wyskoczył z biura i wpadł do naszej celi, opowiadając nam o tem, co zaszło.

W jednej chwili byliśmy już zebrani w naszej celi i postanowiliśmy nie pozwolić na wykonanie wyroku. Wnet przyszedł pomocnik zawiadowcy więzienia, wołając C. do karceru. Oświadczyliśmy, że nic z tego nie będzie, że nie pozwolimy na tę krzywdę. Pomocnik zawiadowcy odszedł, po chwili jednak wrócił w asystencji oficera, dowodzącego strażą wojskową w więzieniu, i piętnastu

żołnierzami. Raz jeszcze zaproponowano nam wydać C. władzy więziennej, i po odmowie przypuszczono szturm do nas. Oficer, dowodzący żołnierzami, widocznie jakiś porządny człowiek, nie pozwolił tym razem na użycie zwykłej w takich wypadkach broni, okutej żelazem kolby karabinowej i raz po raz krzyczał:

— Ostrożnie, chłopcy, karabinami nie ruszać, brać rękami!

Po chwili jak oficer, tak pomocnik zawiadowcy, którym najwidoczniej się chciało uniknąć grubszej awantury, zaprzestali ataku i jeszcze raz spisano wobec nas protokół o niegrzecznym naszym zachowaniu się. Po spisaniu protokołu oficer uklonił się nam i wyszedł razem z żołnierzami z celi. Usunął się też i pomocnik zawiadowcy.

Dzień ten skończył się bez żadnych przygód. Widocznie i policmajster nie odważał się robić większej awantury bez wyraźnego pozwolenia na to wyższej władzy. Prawdopodobnie więc tego wieczoru udał się po pełnomocnictwa i wskazówki do Ignatjewa.

Nazajutrz rano — było to 20 października starego stylu — według zwyczaju otworzono nam drzwi we wszystkich celach, przez nas zajmowanych. O tej rannej porze spaliśmy wszyscy, z wyjątkiem jednego tylko kolegi w naszej celi, Daniłowa, człowieka starszego od nas młokosów, który zwykł był wstawać o 6-tej rano. Nie minęło jednak godziny, gdy przyszedł od policmajstra rozkaz zastosowania względem nas całej surowości ustawy więziennej, która wymaga, by więźniowie cały czas byli zamknięci w celach i wypuszczani jedynie na określony zwykle półgodzinny spacer.

Zgodnie z rozkazem policmajstra, dozorca więzienny zamknął wszystkie cele w korytarzu „sekretnym”. W naszej jednak dużej celi przeszkodził mu w tem kolega Daniłow, któremu zresztą dozorca nie stawiał oporu, bo sam nie rozumiał powodu tej nagłej zmiany i przypuszczał, że zaszła jakaś omyłka. — Wszystko było w porządku, nim nareszcie nie obudzili się koledzy w „sekretnym” korytarzu, o których my w dużej celi nie wiedzieliśmy. Krzyki kolegów z „sekretnego” korytarza wywołały nas na podwórze.

— Zamknięto nas — krzyczeli nam przez okno — wołamy na dozorcę by otworzył, nie chce.

Zaczęła się narada. Ogólne mniemanie było takie, że prawdopodobnie w ten sposób chciano nas rozdzielić, by łatwiej można było wykonać wyrok karceru na C.

Teraz, gdy sobie uprzytamniam ową chwilę, gdy doświadczenie i wiek wytworzyły w mych żyłach sporą dozę chłodnej krwi, rozumiem, że przedewszystkiem należało porozumieć się z zawiadowcą więzienia, z którym paktowanie było możliwe i prawdopodobnie doprowadziłoby do jakiegoś kompromisu. Lecz wówczas nie chcieliśmy rozumować. Rozzuchwaleni tylu utarczkami z władzą, postanowiliśmy wyłamać drzwi w celach naszych kolegów i oswobodzić ich z zamknięcia siłą.

— Otwórz — zawołaliśmy na niego — bo będziemy łamać drzwi.

— Kazano — odparł — zamknąłem. A mnie co, drzwi rzecz skarbową, nie moja. — Łamcie, sami za to odpowiecie.

I najspokojniej w świecie kontynuował przechadzkę po korytarzu, uśmiechając się ironicznie na naszą pracę koło pierwszych z brzegu drzwi „sekretnych”. Jednak praca nasza trwała dosyć krótko. Zamek, wiszący u drzwi i utrzymujący żelazną sztabę, stanowiący główną zapórę, nie wytrzymał nacisku pięciu par silnych rąk, pękł i drzwi się otworzyły. Następnie cztery cele zostały w jednej chwili otwarte tym samym sposobem. Zatrzymaliśmy się dopiero przy szóstej celi, która miała zamek wewnętrzny — wszystkie nasze usiłowania były nadaremne: drzwi nie poddawały się naszemu naciskowi.

Otoczyliśmy znowu dozorcę, wymagając by drzwi otworzył. Wahał się, lecz gdy zagroziliśmy mu, że przemocą odbierzemy od niego klucze, ustąpił i ostatnie drzwi nie zostały uszkodzone. Zabawny był to widok. — Przedstawiciel władzy — dozorca z fajką w gębie — oglądał zakłopotany niezwykle spustoszenie: wygięte sztaby, złamane zamki. — My staliśmy spoceni, tryumfujący, rozradowani i rozśmieszeni zarazem tak łatwym i tak oryginalnym zwycięstwem. Wreszcie nie było tu co robić, wyszliśmy na podwórze w podskokach, gwarni i weseli.

Dzień cały minął i nikt nas nie zaczepił. Zdawać by się mogło, że o nas zapomniano. Władza więzienna do nas się nie zgłaszała wcale, a gdy przyszła szósta godzina wieczorem, nikt nas do cel nie zapędzał. Zostawiono nas w spokoju. To nas zastanowiło — czy nie jest to cisza przed burzą?

Zebraliśmy się wszyscy w naszej dużej celi — w naszym klubie na naradę. Ogólne zdanie było takie, że władza będzie zmuszona coś przedsięwziąć, że zaś nic dobrego wróżyć nie można

było z dotychczasowej bezczynności władzy więziennej, postanowiliśmy na wszelki wypadek nie rozchodzić się do cel i czekać tu w kupie dalszego losu. Gdyśmy obradowali, usłyszeliśmy za sobą trzask zamykanych drzwi: któryś z dozorców podkradł się i zamknął nas w klubie.

Niepokój nasz zaczął wzrastać. Przez zakratowane okno nic nie było widać. Słyszeliśmy tylko jakieś szybkie, lecz ciężkie kroki na podwórzu. Po pewnym czasie do uszu naszych doleciał krzyk niewieści. Poznaliśmy głos jednej z naszych towarzyszek. Co ona krzyczała, o czym zawiadamiała nas, nie mogliśmy zrozumieć. Widocznym jednak było, że nasze koleżanki gdzieś były przenoszone, gdyż krzyk i odgłos kroków wskazywał na kierunek ruchu — od skrzydła kobiecego do bramy więziennej.

Rzuciliśmy się wszyscy do drzwi, chcąc je wyłamać, lecz usłyszeliśmy liczne kroki, zbliżające się do naszej celi. Drzwi z trzaskiem się otworzyły. Na progu błysły bagnety i lufy karabinów. Na środek pokoju pędem wpadło z dziesięciu żołnierzy z nastawionymi w naszym kierunku bagnetami. Za nimi wszedł policmajster w otoczeniu oficera, dowodzącego żołnierzami, i władzy więziennej.

— Panowie — zwrócił się do nas policmajster — musicie państwo być przeniesieni do innej części więzienia; ta cela nam jest potrzebna.

— Zgoda — odpowiedział na to nasz starosta, wybierany zwykle w partjach wygnańców dla prowadzenia wspólnej gospodarki i pertraktacji z władzami — zgoda. Nam jest wszystko jedno, tu czy gdzieindziej. Żądamy tylko by pan nam przyrzekł, że nasze warunki życiowe nie będą pogorszone, że będziemy korzystali z tych samych swobód, jakieśmy mieli dotąd.

— Nie mogę wchodzić w żadne umowy z panami — odparł policmajster, podnosząc głos — jesteście więźniami, my jesteśmy władzą. Waszą rzeczą jest słuchać i być posłusznym rozkazom władzy.

Rozpoczęła się krótka kłótnia. Żądaliśmy stanowczo określenia warunków naszej przyszłej niewoli. — Policmajster widocznie się wściekał.

— Nie chcecie panowie mnie słuchać — zawołał — posłuchacie czego innego. Panie poruczniku — zwrócił się do oficera — rób pan, co panu kazano.

Porucznik wyjął pałasz i huknął na żołnierzy:

— Biej ich, rebiata, cztoś dolgo pomnili!

Żołnierze, jak wściekłe wilki rzucili się ku nam z podniesionymi karabinami. Byliśmy skupieni w kącie między piecem i ścianą, ja stałem w pierwszych szeregach. Podniosłem oczy, nademną była kolba karabinowa. Odsunąłem ją ręką, kolba ześliznęła się po czole, lecz w tej chwili otrzymałem kolejne uderzenie kolbą po drugiej stronie głowy, potem drugie, trzecie... Krew zalała mi oczy, zachwiałem się na nogach, w głowie mi się zakręciło... upadłem. W chwili, gdy się przewracał, żołnierze odskoczyli od nas — był to efekt rzuconej z tylnych naszych szeregów poduszki, która upadła tuż przy mnie. Po chwili zemdlałem, słysząc jeszcze na razie jakiś jęk, nie wiem już, czy z moich, czy innego kolegi ust wydarty.

Co dalej było, nie widziałem. Jak mi opowiadał potem jeden z kolegów, z pomiędzy nas — trzynastu, trzech tylko pozostało na nogach do końca, reszta pomdlała pod uderzeniami kolb żołdackich. Wyciągano nas po kolei z celi na podwórze. Co do mnie, ocknąłem się w objęciach dwóch żołnierzy, którzy już na podwórzu próbowali stawić mi na nogi. Przyszedłem do przytomności, lecz nie bardzo rozumiałem, co wokoło mnie się dzieje. Instynktownym ruchem wyrwałem się z rąk żołnierzy i pobiegłem przed siebie. Wpadłem pod bramę więzienną, gdzie ujrzałem cały szereg żołnierzy z karabinami w rękę. Nogi podemną się ugiwały i osunąłem się na ręce tęgiego chłopca, który mnie złapał. W tej chwili dopadł do mnie jeden z żołnierzy, od których przed chwilą się wyrwałem i uderzył mi kolbą w twarz. Krew z nosa i z ust buchnęła mi na twarz i odzienie. Oburzyło to widocznie podoficera.

— Durak! słyszałem nad sobą — nie widzisz, że chłopiec na nogach nie stoi.

Żołnierz widocznie się zażenował. Szorskim rękawem szynelu starał się otrzeć mi twarz, naturalnie rozmazując krew jeszcze bardziej. Wreszcie na rozkaz podoficera wziął mi pod ramię i poprowadził za innymi. Prowadzono nas na kobiecy oddział, skąd świeżo wywieziono nasze koleżanki. W głowie mi huczało szedłem krokiem niepewnym, na pół omdlały. Dusila mnie bezsilna złość, a gorczyz grubiańsko zdeptanej godności osobistej dławiła mi gardło. Słyszałem wokoło brutalne słowa żołdaków, popędzających mych kolegów, słyszałem głucho dźwięki uderzeń. Mój żołnierz po naga-

nie podoficera zachowywał się grzecznie. Silnem ramieniem podtrzymywał moje niepewne kroki i raz po raz powtarzał:

— Nu, warnaczek, idź! Wisz! nie buntuj! Osłab, biednyj!

Wepchnięto mnie wreszcie do celi, gdzie już zastałem kolegę, leżącego na podłodze. — Drzwi za mną zamknęły się natychmiast. — Byłem ostatnim, wprowadzonym do kobiecego oddziału, i zaraz po zamknięciu drzwi zaległa w naszym korytarzu cisza. Kroki oddalających się żołnierzy milkły w podwórzu.

W celi było ciemno, słyszałem tylko ciężki oddech leżącego na podłodze kolegi.

— Który to z was? — zapytałem.

Ach to wy, pan — z jękiem odpowiedział mi kolega, który mię poznał po głosie i tytułował zwykłym dla Polaków przezwiskiem „pan“ — jeden z tych djabłów na pożegnanie poczęstował mię w bok kolbą, ledwie dyszę. A z wami co? widziałem, że upadliście przy początku awantury.

— Gnatów mi nie połamali — mówiłem — ale okrwawili jak nieboskie stworzenie, dotąd mi z gęby krew cieknie. Musimy ładnie wyglądać! Cholera! — zacząłem już łajać po polsku — żebyć to choć siekiera lub bodaj porządna pałka w garści była. A to poduszka.

Po chwili przyszedł drżący, jak liść osinowy, zawiadowca i doktor. Przyszli obejrzeć, czy niema poważniejszych uszkodzeń, wymagających opatrunku.

— Co panu? — zawołał doktor, świecąc mi latarką w oczy — pan cały we krwi!

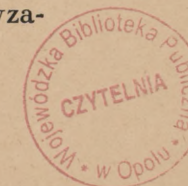
— Idźcie do djabła! zawołał nagle kolega, wyprostowując się groźnie — a był to potężny mężczyzna — jeszcze patrzeć przyszedł, czy dobrze swe barbarzyństwo wykonali.

— Precz, precz — zawołałem i ja, zaciskając kułaki.

— Panowie! czy wszyscy są tutaj! — rozległo się z którejś celi.

Obliczyliśmy, że wszystkie sześć cel są zajęte, lecz jest nas tylko dziesięciu — trzech brakowało. Nie było Daniłowa, nie było Cejtlika i jeszcze jednego. Gdzie oni być mogą? Może ich zatłukli, może wsadzono ich zbitych do karceru. Minęła noc na naradach, co wobec tego robić wypada. — Postanowiliśmy ogłosić bunt głodowy, dopóki nam nie przyprowadzą kolegów.

Gdy nazajutrz rano przyniesiono nam rzeczy z dawnych cel, gdy nas wypuszczono na korytarz i moglibyśmy się obejrzeć wza-



jemnie spostrzegliśmy, jak strasznie byliśmy zmaltratowani. Okrwawieni, opuchnięci, potłuczeni, z palącemi się od gorączki oczami wyglądaliśmy jak świeżo przytransportowani z placu boju żołnierze. Wszyscy drżeliśmy z oburzenia i zaciskaliśmy zęby z wściekłości, co nas dusiła. Lecz nadewszystkiem górowała kwestja, gdzie są ci, których pomiędzy nami nie było



W Syberji, w czasie 5-letniego wygnania (1887—1892)

Zażydaliśmy zaraz papieru i atramentu. Napisaliśmy do władzy komunikat, ogłaszający, że od dzisiaj rozpoczynamy się głodzić i nie będziemy przyjmowali pokarmu dopóty, dopóki nam nie przyprowadzą naszych kolegów; lub nie przyniosą własnoręcznie przez nich napisanych listów do nas. Pomocnik zawiadowcy biegał od

jednego do drugiego, upraszając nas, byśmy tego nie robili. Mówił nam, że owych trzech kolegów zaprowadzili do cyrkulów policyjnych, że im się nic złego nie stało. Byliśmy niewzruszeni.

Pamiętnem mi jest to głodzenie się. Pierwszego dnia kurczyło w żołądku okropnie i głód pod wieczór doskwierał nieznosnie. Nazajutrz jednak i trzeciego dnia żołądek przypominał o swych prawach jedynie w porach, gdy przy normalnym biegu rzeczy otrzymywał należną mu daninę. Zresztą opanowała mię na trzeci dzień słabość i pewne znieczulenie, byłem ciągle drzemiącym. Pod wieczór tego trzeciego dnia przyprowadzono nam dwóch kolegów, którzy razem przynieśli nam wiadomość, że trzeciego, mianowicie Daniłowa, widzieli na własne oczy i że wywieziono go na miejsce wygnania. Ogłosiliśmy więc, że przestajemy głodzić się, i pocziwy zawiadowca wbrew ustawie więziennej, pozwolił nam po 6-tej wieczorem zgotować sobie obiad i herbatę. A nazajutrz, gdyśmy już wpadli w doskonały humor i z apetytem zjadali obiad, przyniesiono nam papier od pana prokuratora, który nam groził sztucznem karmieniem, gdybyśmy się ośmielili nadal wyrażać swój protest głodzeniem się.

Tak się zakończył nasz bunt irkuski. Po tym buncie mieliśmy święte życie. Żadne „naczelstwo“ nam nie dokuczało — bało się zaglądać na nasze podwórko. Natomiast mieliśmy swobodę zupełną na naszym terytorjum w dawnym kobiecym skrzydle więzienia. Nie zamykano nas nawet na noc. A gdy przyszły świeże partje wygnańców, pomieszczono je w dawnych naszych kwaterach — rozbitych przez nas celach „sekretnych“. Lecz nie przeszkadzano nam odgrywać roli gościnnych gospodarzy i zapraszać nowych kolegów na obiady i kolacje „buntowników“.

Swoją drogą za awanturę 20 października, pociągnięto nas do odpowiedzialności sądowej. Prokurator oskarżał nas nie mniej nie więcej, jak o „zbrojny opór władzy więziennej“ t. j. o przestępstwo, za które prawo wysyła ludzi na katorgę.

Nie wiem, jak prokurator udowadniał na sądzie „zbrojność“ naszego oporu, bośmy — wszyscy stanowczo odmówili udziału w komedji sądowej i zrzekli się wszelkiej obrony. Sąd jednak nie zgodził się z żądaniem prokuratora i zastosował do nas możliwie łagodną karę; skazał wszystkich na pół roku, a mnie i dwóch jeszcze kolegów jako niepełnoletnich, na trzy miesiące więzienia. Prokurator, niezadowolony z wyroku, apelował do senatu.

W tydzień po sądzie — 1-go grudnia — wyruszyliśmy na Lenę i dopiero w rok potem otrzymałem wyrok senatu, który w swej łaskawości podwoił nam karę skazując mnie na półroczne więzienie. Odbyłem je w Kireńsku, na miejscu mego wygnania.

Ten bunt irkucki, o którym teraz wspominam jako o drobnostce, długo był mi pamiętnym. Przez pewien czas nie mogłem obojętnie patrzeć na żołnierza, na mundur — czułem, że mi się pięści zaciskają, a nieraz gdym zamykał oczy, widziałem przed sobą pełen grozy obraz dzikiego ataku uzbrojonego tłumu żołdaków na bezbronną garstkę ludzi, skupioną w kącie.

(*Kalendarz robot. 1911 r.*)

Gdy sobie przypomnę swe lata dziecinne, staje mi żywo w pamięci obraz mego pierwszego zetknięcia się z „bibułą“. Było to na dworcu szlacheckim na Litwie, jakie dziesięć lat po powstaniu. Wrażenie wieszielskich rządów Murawiewa było jeszcze tak świeże, że ludzie drżeli na widok munduru czynowniczego, a twarze ich wyciągały się, gdy w powietrzu zabrzmiał dzwonek, zwiastujący przybycie któregoś z przedstawicieli władzy moskiewskiej. W tym to czasie matka moja wyciągała niekiedy z jakiejś kryjówki, jej tylko wiadomej, kilka książeczek, które odczytywała, ucząc nas, dzieci, pewnych ustępów na pamięć. Były to utwory naszych wieszczów. Tajemnica, którą te chwile były otaczane, wzruszenie matki, udzielające się małym słuchaczom, zmiana dekoracji, jaka następowała z chwilą, gdy niepożądany jaki świadek trafiał przypadkowo na nasze rodzinne konspiracyjne — wszystko to zostawiło niezatarte wrażenie w moim umyśle. Te właśnie książki wraz z kilku innymi — pieśniami historycznymi Niemcewicza, paru broszurkami z czasów przedpowstaniowych — były bodaj jedyne przedstawicielkami nieocenzurowanej literatury w tym czasie. Ocalały one podczas burzy powstaniowej w niewielkiej ilości, a chowane przez pietyzm jak relikwie, niszczone zaś przez tchórzostwo przy każdym istotnym lub przypuszczalnym niebezpieczeństwie, nie mogły wywierać szerokiego wpływu, ograniczając się najczęściej rodzinnym kołem posiadaczy takiej książki. „Bibuła“ w tym czasie znajdowała przytułek u tych, którzy uparcie stali przy przygaszonym krwią bohaterów 63 roku i ledwie tlejącym zniczu narodowo-rewolucyjnym. Były to jakby mogilne płomyki, nieśmiało i chwiejnie oświetlające smutne

twarze rozbitków, ocalałych z ogólnej klęski. Ale na mogiłach wyrasta trawa — z popiołów powstaje nowe życie, żądne słońca i swobody. I w Polsce, która wówczas była jedną wielką mogiłą, zazieleniało; zjawiało się nowe życie, nowy ruch, który, zrobiwszy wyłom w modlitewno-rzeczonym stosunku do przeszłości, stworzył nowy okres dla nielegalnej książki.

(*Walka Rewol. w zab. ros., 1903.*)

Pamiętam żywo swoje pierwsze zetknięcie się z granicą, gdym po powrocie z wygnania jechał odwiedzić ojca i rodzeństwo, mieszkających w owe czasy w majątku na pograniczu pruskim. Część drogi, którą miałem do zrobienia, leżała tak blisko granicy, że do słupów granicznych od drogi było zaledwie kilka kroków. Droga idzie w tym miejscu lasem i musiałem ją przebywać późnym wieczorem. Gdyśmy się wlekli wolnym krokiem po piaszczystej drodze, z daleka lasu wybiegło do nas echo wystrzału karabinowego. Po chwili na drodze zadudniało i kilka uzbrojonych konnych postaci minęło nas w galopie. Następnie spotkałem znowu kilku konnych, którzy czegoś szukali na drodze, oświetlając ją latarką. Jeden z nich podjechał do nas i nieco grubszym tonem zapytał: Otkuda? (skąd).

Z Jurborgu jadę do Taurogów — odpowiedziałem,

W Tawrogi! — I spojrzawszy na konie i zaprząg, dodał: — Pomieszczyk? — co w języku rosyjskim oznacza pozycję socjalną, nazywaną w Galicji „obszarnik“.

Tak — rzekłem — czego chcecie? Niczawo! Kontrabandę łowim, pojeżdżajcie! Woźnica mój, tegi, barczysty Żmudzin, splunął pogardliwie i zaciął konie. Po chwili rozległy się znowu strzały.

Trafiłem widocznie na niespokojną chwilę, lecz przyznam się: te strzały nocne w lesie, te pędzące patrole i uwijanie się po drodze uzbrojonych ludzi sprawiły na mnie silne wrażenie. Wyglądało to na małą wojnę. Tymczasem spotkaliśmy raz jeszcze konnych z latarkami, szukających czegoś na drodze, i mój Żmudzin raz jeszcze splunął energicznie i odwróciwszy się do mnie, flegmatycznie mówił: — Psy, śladów szukają! Psy! Czyste psy!

Śladów? — pytałem zdumiony. — Ależ na drodze tych śladów jest mnóstwo.

Żmudzin nie mógł mi tego wytłumaczyć, zbyt źle mówił po polsku.

a ja znowu nie umiałem po litewsku. Wkrótce jednak wytłumaczył mi to jeden z żołnierzy tej samej straży pogranicznej. Spotkałem się z nim w karczmie, przy której zatrzymaliśmy się, by dać koniom odetchnąć. Poczęstowany papierosem i kieliszkiem wódki, zaczął mi opowiadać o swoim życiu: — Ciężka służba, psia, ani dniem, ani nocą spoczynku niema. We dnie na linji, a w nocy w sekretach. I dobrze, kiedy ładna pogoda, a w deszcz i wiatr w lesie straszno i hałas taki od szumu drzew, że nic poza tem nie słyszać, no, i przespać też się chce. A tu pilnuj i pilnuj, jak ślad jaki na ciebie, a nie złapałeś, to cię nie pogładzą, albo jak pogładzą, to zębom nie bardzo zdrowo od tego głaskania — dodał, śmiejąc się z własnego dowcipu.

Jakie ślady w lesie? — pytałem.

Nie w lesie, a na drodze, a droga na noc zabronowana, więc kto w poprzek drogi od granicy przejdzie, ślad zostawi. A tam starsi po drodze z latarką biegają, gdzie ślad jest, zaraz do najbliższego sekretu: ślad na ciebie był, gdzie kontrabanda? Czorty! — skarżył się mój żołnierz.

W istocie, gdy się przypatrzyłem potem, dostrzegłem, że „czorty“ drogę zabronowali tak, że każdy przechodzień zostawiał na piasku wyraźny odcisk swej stopy.

Cóż ty robisz — indagowałem dalej żołnierza — gdy na ciebie wyjdzie kontrabandzista?

Wiadomo co. Strzelam. Muszę niby przedtem krzyknąć „stój“, ale gdzie tam krzyżeć, on ucieknie, on ten las zna, jak kieszeń własną. Teraz to lepiej, dawniej jak ciebie taki djabeł już minął, to lepiej nie strzelać. Jak trafisz w plecy to cię karali, bo karabin był niby do tego, żeby się bronić albo dać sygnał. A teraz nie żartuj, w plecy czy w łeb to jedno. Prawo takie jest! — mówił z dumą i zadowoleniem. — O i dzisiaj sygnał słyszał pan? — mówił dalej, — pewnie którego djabła na tamten świat wyprowadzi. Wachmistrz nasz chodził na tamtą stronę dnier, przebrany był. Kazał dziś czekać kontrabandy, słyszę — dużo mieli przynosić nocą. Pewno złapali, zarobią dobrze, szczęście mają!

Trzeba bowiem wiedzieć, że rząd zachęca swych agentów do łapania kontrabandy w ten sposób, że każdy kto wskaże lub złapie przesyłany towar, otrzymuje trzecią część sumy, otrzymanej ze sprzedaży tego towaru. Drugą część składa się do banku państwa i w końcu roku sumę całą, otrzymaną z całego okręgu celnego, dzieli się pomiędzy

urzędników komorowych i oficerów straży pogranicznej. Wreszcie reszta idzie do skarbu. Naturalnie za rzeczy, które nie mogą być sprzedane, w rodzaju na przykład bibuły, rząd wydaje osobną nagrodę.

(*Walka rewol. w zab. ros., 1903 r.*).

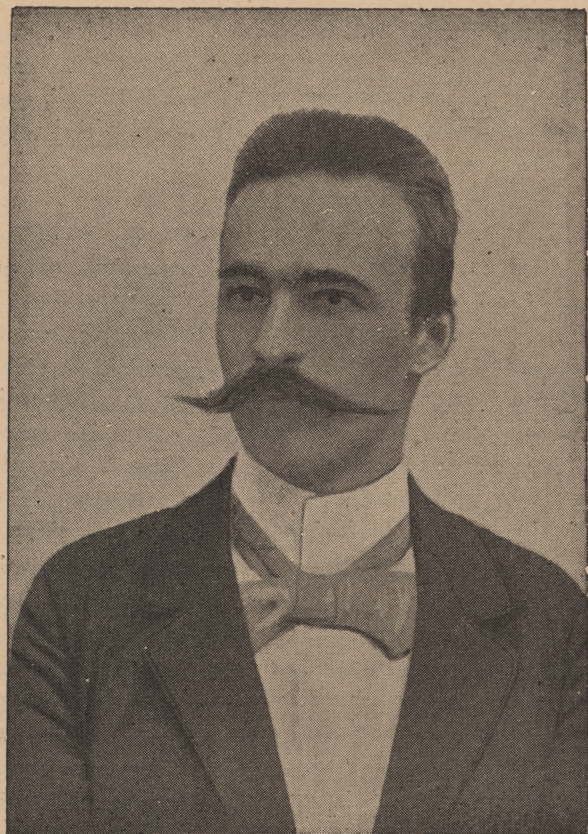
 lipcu (dnia 12) 1894 roku z tajnej drukarni P. P. S. ukazał się pierwszy numer „Robotnika“, którego do roku 1903 wyszło 52 numery, t. j. pięć razy więcej w porównaniu z „Narodną Wolą“, organem najsilniejszej z doby powstaniowej organizacji rewolucyjnej w państwie cara do niedawnych czasów.

Fakt istnienia drukarni w kraju, stałe ukazywanie się różnych wydawnictw — „Robotnika“ i odezw — wywarł w swym czasie głębokie i silne wrażenie na wszystkich, co czuli jakkolwiek chęć do walki z uciskiem rządowym.

Wśród sceptyków i „pozytywistów“ panowało pewnego rodzaju zdumienie, i oczekiwano z dnia na dzień wpadnięcia drukarni w ręce żandarmów. Wśród samych założycieli drukarni „Robotnika“ panował taki nastrój, że jak opowiadał mi jeden z nich, nie oczekiwano, by można było bez wyspy dojść do 12 numeru pisma. Lecz bodaj nie omylę się, gdy powiem, że najpowszechniejszem uczuciem był pewnego rodzaju entuzjazm i uznanie dla śmiałego przedsięwzięcia.

Opowiadano mi, że organizacja zecerów w Warszawie zaproponowała w razie braku sił technicznych wybrać z pomiędzy nich ludzi. Dodano przytem, że każdy z nich zgadza się, by mu zawiązano oczy, wsadzono do powozu i odwiązano dopiero w drukarni, skąd każdy z nich obowiązywał się nie wychodzić ani na chwilę i nie patrzeć przez okno dla zachowania konspiracji zupełnej. W Dąbrowie, w Hucie Bankowej, robotnicy proponowali złożyć w drukarni zaoszczędzone przez siebie dla przyszłego strajku fundusze. Sam na własne uszy słyszałem propozycje towarzyszek, by je wzięto do drukarni, chociażby dla najzwyczajniejszych posług. Nawet mernerzy narodowej demokracji, tak wrogo obecnie względem socjalizmu usposobieni, byli nieco podnieceni nadzwyczajnem powodzeniem „Robotnika“. Jeden z nich przy rozmowie ze mną w 1896 roku mówił, że „drukarnia wasza i „Robotnik“, to nadzwyczajny fakt, wspaniałe zjawisko, którego waszej partji powinnować można“. Naturalnie zapatrywał się on na znaczenie tego faktu w specjalny sposób: „Jak to żandarmów wściekać musi!“

W istocie żandarmi wściekali się ze złości i urządzali formalne polowania na nieuchwytnego „Robotnika”. Sądząc z ciekawych pamiętników znanego szpiega Wiśniewskiego, wydanych przez P. P. S., żandarmi warszawscy próbowali okłamywać siebie i wyższą władzę twierdzeniem, że „Robotnik” jest wydawany za granicą, a druki, rze-



W 30-ym roku życia

komo krajowego pochodzenia, są przeszwarcowane z za kordonu. Mądry pułkownik Utgoff znalazł nawet, że papier, na którym wydrukowany jest „Robotnik”, zdumiewająco jest podobny do londyńskiego papieru, używanego do zagranicznych wydawnictw P. P. S. Lecz wreszcie musiano się pożegnać z tą iluzją, raz po raz bowiem w numerach „Robot-

nika” znajdowały się nowiny z dnia wczorajszego, które fizycznie nie mogły tak prędko przebiec granicę i wrócić stamtąd w postaci zadrukowanego papieru.

Wówczas drukarnia „Robotnika” stała się głównym celem nagonek żandarmskich. W przyszłości zapewne będzie znanym, jak mądre plany budowano w zarządach żandarmerji dla wykrycia drukarni. Obecnie jednak, sądząc tylko z przejawów tych polowań, trzeba przyznać, że polowania te mocno przypominały rozjuszonego byka, rzucającego się na czerwoną płachtę i spotykającego pod rogami pustą przestrzeń. Tą płachtą dla żandarmów były odezwy. Pojawiły się w Radomiu — jazda do Radomia w poszukiwaniu drukarni, były w Białymstoku — marsz na Białystok, tam bowiem ukrywa się drukarnia; są w Dąbrowie i oto w głupich głowach żandarmów kręci się myśl, że drukarnia musi być ukryta gdzieś w zarzuconym szybie. Przed samym zaarrestowaniem drukarni w Łodzi żandarmerja warszawska była już na „pewnym” tropie. Drukarnia miała być ukryta u jakichś bardzo bogatych i możnych ludzi i żandarmi poszukiwali ich śladów przez... modne i drogie, sprzedające siebie kokoty.

Jeśli żandarmi suszyli sobie nieraz mózgi nad tym zagadnieniem z obowiązku, to mnóstwo ludzi łamało sobie głowy nad nim z prostej i zrozumiałej ciekawości. Koło tej niepochwytnej drukarni tworzyły się legendy i hipotezy. Jedni umieszczali ją na strychach, inni w piwnicach, wielu słyszało w zamieszkanym przez siebie kamienicach szmery, mających świadczyć o istnieniu drukarni i t. d. — wszyscy zaś osłaniali tę tajemniczą drukarnię różnemi romantycznymi szczegółami.

Wreszcie w lutym 1900 r. pieczęć absolutnej tajemnicy, która gęstą mgłą otaczała drukarnię, została zdjęta. Żandarmerja łódzka dzięki prostemu przypadkowi, wykryła ową drukarnię w Łodzi, przy Wschodniej ulicy, na pierwszym piętrze domu pod numerem 19.

Tryumf żandarmerji był ogromny. Zdawało się im, że raz nareszcie opanowano ruch, który im tyle kłopotów sprawiał, a przynajmniej, że zmuszono ten ruch do milczenia. Jeden z żandarmów, który piszącego te słowa właśnie w sprawie drukarni badał, szeroko tłumaczył, jak wielki cios został zadany partji przez aresztowanie drukarni.

„Nie łatwo — mówił mi p. rotmistrz — zdobyć się raz jeszcze na taki wysiłek, nie łatwo zorganizować podobną rzecz na nowo”. „Ależ p. rotmistrzu — zawołałem na to z uśmiechem — jestem przekonany, że w tej może chwili już się drukuje następny numer „Robotnika”. Niech mi pan wierzy, że dla P. P. S. nie stanowi to nic tak bardzo trudnego”.

Nie wiedziałem wówczas, zamknięty w murach cytadeli warszawskiej, że moje słowa odpowiadały rzeczywistości. W kilka dni po tej rozmowie ukazał się 36 numer „Robotnika” z nowej drukarni, założonej przez partję.

Odkryta w Łodzi drukarnia nie mieściła się ani w piwnicy, ani na strychu, ani była otoczona jakąś nadzwyczajną tajemniczością. Redakcja i drukarnia znajdowały się w zwykłym mieszkaniu, jakich tysiące jest w każdym większym mieście. Jak wspomniałem, była ona na I-szym piętrze. Była to, jak mi mówiono, inowacja. Dotąd bowiem wystrzegano się umieszczania drukarni na piętrze. Obawiano się, żeby pewien szum, sprawiany przez maszynę drukarską, nie był słyszany przez mieszkańców parteru.

Co do mnie, gdy mi poruczono redakcję „Robotnika” i urządzenie drukarni w Łodzi, nie znalazłem na parterze mieszkania.

Zaryzykowałem wziąć mieszkanie na piętrze, tem bardziej, że w tym domu parter był zajęty przez skład bawełny i pończoch. Mieszkanie nasze składało się z czterech pokoi i kuchni. Z frontowych schodów wchodziło się do korytarza, z którego na prawo drzwi prowadziły do pokoiku niewielkiego, w tym jadaliśmy obiad. Na lewo z korytarza było dwoje drzwi — jedno, najbliższe od wejścia, do pokoju sypialnego, drugie do saloniku. Wprost z korytarza były drzwi do kuchni i z kuchni wreszcie na tylne schody. Za salonikiem był pokój duży, w którym postanowiliśmy umieścić drukarnię, a który był zarazem dla ludzi postronnych gabinetem moim do pracy.

Umeblowanie gabinetu — drukarni składało się z biurka redakcyjnego, w którego szufladach złożone były rękopisy i wydawnictwa różne, potrzebne do redakcji; z otomany, w którą chowaliśmy papier; kosza, do którego szły różne odpadki produkcji, stopniowo po tym spalane w piecach mieszkania, szafki składanej, w której się mieściła w górnej części maszyna drukarska, a w dolnych jej szufladach kaszty z czcionkami i, wreszcie, z kilku krzeseł. Oprócz tego stały dwie lampy, jedna z nich wysoka, japońska, druga na biurku. Oświetlały one nam pokój przy wieczornej robocie.

Praca zaczynała się o 9-ej rano, gdy przychodził do nas towarzysz Różnowski, były student uniwersytetu moskiewskiego, a wówczas nasz technik drukarski i mój wobec służącej i stróża pomocnik. W saloniku stał pod oknem mały stolik japoński, a na nim bożek buriacki, którego wywiózł z Syberji. Podstawa bożka była wydrażona i tam z wieczora, po skończonej robocie kładliśmy klucz od drukarni. Różnowski brał

rano klucz i przyprowadzał do porządku zewnętrznego pokój, tak, by służąca sprzątać go mogła.

W tym czasie, gdyśmy z Różnowskim pili herbatę, żona pod pozorem, że ja nikomu oprócz niej nie pozwalałam dotykać się papierów na biurku, pomagała służącej sprzątać w gabinecie. Służąca nie widziała w gabinecie nic prócz mebli, przy żonie, naturalnie nie ośmielała się badać ich zawartości. Zresztą rozrzucone na biurku papiery i książki świadczyły o jakiejś inteligentnej pracy, niezrozumiałej dla niej.

Służąca w mieszkaniu, przeznaczonem na drukarnię, była to również inowacja, dotąd w tajnych drukarniach nieznana. Tradycja rosyjska w tych wypadkach nakazywała brać jako służącą towarzyszkę, wtajemniczoną we wszystkie szczegóły interesu. Tradycja polska wskazywała na służącą przychodnię, jako na wyjście należyte. Co do mnie, postanowiłem wziąć służącą na stałe. Było to bez wątpienia bardzo uciążliwe i wymagało wielkiej bacności, lecz miało i dobre strony.

Przedewszystkiem dziwnem byłoby, gdyby w porządnym burżuazyjnym mieszkaniu nie było stałej sługi, osobliwie, gdy praca ich tak marnie jest opłacana, jak w Łodzi. Następnie towarzyska, jako służąca, nie uśmiechała mi się wcale. Sługi w domach miejskich stanowią swego rodzaju klub, czy stowarzyszenie, znają się wzajemnie i utrzymują stały stosunek ze stróżami. Bałem się jakiegokolwiek niezręczności ze strony towarzyski, której zadaniem byłoby udawać sługę, niezręczności, która mogłaby zwrócić na nasze mieszkanie uwagę, zrobić je przedmiotem gawęd i podpatrywań. Natomiast byłem zupełnie przekonany, że pierwsza lepsza służąca, wzięta z biura, zawsze może być utrzymana przez gospodarzy w przyzwoitym oddaleniu od tego, lub owego punktu mieszkania.

Tak się też stało u nas w Łodzi. Odrazu zapowiadało się służącej, że miejsce jest w kuchni, że „pan” nie lubi, gdy służąca bez potrzeby wchodzi do pokoi „pańskich”. przytem dawało się im dużą swobodę, chętnie „dzielaliśmy naszym sługom urlopów na wieczory.

Zaraz po rannej herbacie ja z Karolem wynosiłem się do gabinetu, do roboty. Robota nasza polegała na pisaniu, składaniu i odbijaniu na maszynie. Pierwsze należało do mnie, drugie do Różnowskiego, trzecie było naszą wspólną funkcją. Urządzaliśmy się w ten sposób, że od chwili, gdy robota nad numerem „Robotnika” została rozpoczęta, nie przerywaliśmy już jej, dopóki nie została skończona. Dwunasto-stronicowy numer kosztował nas zwykle 15—16 dni pracy, pracy dosyć uciążliwej, trwającej przeciętnie 9 — 11 godzin dziennie.

Środki nasze techniczne składały się z pewnej ilości czcionek. Petitu mieliśmy na 2 i coś stronice i garmontu na sześć. Oprócz tego pewną ilość liter tytułowych oraz tłustego petitu i garmontu. Mieściło się to w kasztach i w związanych stronicach, pozostałych z dawniejszej roboty — kaszty i stronice leżały w szafce i otomanie.

Poza tym w szafce stała maszynka drukarska angielskiego systemu Model—Press. Maszynka niewielka, ważąca coś około 7 pudów, z ramą małą, mieszczącą zaledwie jedną stronicę „Robotnika“. I taka właśnie maszynka, używana za granicą, w krajach z cywilizowanymi prawami dla słowa drukowanego, jedynie do odbijania niewielkich ogłoszeń i biuletów wizytowych — taka maszynka stanowiła nadzwyczajny postęp w porównaniu z przed P. P. S.-ową techniką drukarską w organizacjach rewolucyjnych pod caratem.

Na maszynie, jak powiedziałem, można było odbijać odrazu tylko jedną stronicę naszego pisma i dopiero po odbiciu jednej można było przystąpić do następnej. W ciągu jednej godziny odbijaliśmy od 300 do 400 egzemplarzy. Szybkość zależała głównie od tego, czy można było w danej chwili sprawić więcej hałasu, czy nie. W celu zmniejszenia hałasu maszynka była wszędzie, gdzie się różne jej części stykały przy pracy, oklejona gumą, rzemykami i sukrem. I raz poraz trzeba było przerywać robotę, by to lub owo w niej naprawić — przykręcić śrubę, dolać oliwy na osie, przykleić pasek jakiegokolwiek materiału, zamiast tego, który odleciał przy robocie. Co pięćdziesiąt egzemplarzy trzeba było rozsmarować farbę na talerzu i baczyć przytem, by farby nie było za dużo, bo w tym wypadku arkusiki papieru, złożone po odbiciu jeden na drugim, ogromnie się brudziły i druk stawał się nieczytelny. Gdy przeciwnie brało się farby za mało, to przy małej presji, jaką rozwinąć można było przy tym systemie drukarskim, druk wychodził blade, co na petitowych osobliwie stronicach czyniło druk równie niedogodnym do czytania i niewyraźnym, szczególnie dla ludzi, nieprzyzwyczajonych do czytania, a ci przecie stanowili większość czytelników naszego pisma.

Licząc więc wszystkie przerwy w produkcji, na każdą godzinę pracy wypadało przeciętnie 250—280 egzemplarzy. A że biliśmy wówczas 1900 egzemplarzy pisma, więc samo odbijanie jednej stronicy zajmowało nam 8 godzin pracy. Gdy się zaś doliczy czas, zużyty na przygotowanie do pracy, zabijanie stronicy na ramę, zrobienie korekty i wreszcie usunięcie śladów roboty, będziemy mieli 9 co najmniej godzin tańca koło maszynki dla odbicia jednej stronicy „Robotnika“. Była to nasza dzienna produkcja.

Co się tyczy hałasu, sprawianego przez robotę, to przy ostrożnym odbijaniu, gdy się niejako trzymało w garści całą maszynkę i zwracało uwagę na najmniejsze jej kaprysy, największy hałas sprawiała czynność brania z kupy papieru jednego arkusika w celu położenia go na maszynkę. Szelest papieru — oto najgłośniejsza procedura! Nic dziwnego, że w czasie samej roboty, służąca z nieodstępującą od niej moją żoną mogła sprzątać w sąsiednim pokoju, nie słysząc z gabinetu — drukarni żadnego podejrzanego szmeru.

Muszę jednak przyznać, że odbijanie należało do najprzykrzejszych, najnudniejszych robót, jakie znam.

Chwytasz arkusik papieru, przymierzasz go tak, by upadł akurat w odpowiednim miejscu naprzeciw czcionek, przyciskasz rączkę maszynki — klap! Paszcza się zamknęła, papier dotknął się do czcionek, wałki pobiegły na talerz; podnosisz rączkę do góry — paszcza się otworzyła, odkładasz zadrukowaną stronę na lewo i znowu dalej w kółko. I gdyby nie było żadnych przeszkód, gdyby można było nie zwracać uwagi ani na hałas, sprawiany przez maszynę, ani na to, co się w sąsiednich pokojach dzieje, gdyby można było złać się niejako z tą maszynką, zastosować zupełnie do jej poruszeń i kłapać sobie spokojnie, myśląc o czem innem. Ba, zapomniałeś się, a już słyszysz okrzyk towarzysza pracy, który dłubie przy kaszcie:

„Cholera! Maszyna zanadto huczy! Może podlać oliwy?!“ Albo słyszysz ostrzegawcze nucenie żony, co oznaczało, że służąca jest w pokojach, że należy bić ciszej, ostrożniej obchodzić się z kapryśną maszyną.

Karolek, gdy pracował przy maszynie, lubił pogawędzić, pożartować; co do mnie zawsze byłem zły i milczący, gdy dotykałem żelaznej, chłodnej rączki maszyny. Niecierpliwym okiem rzucałem spojrzenia na powoli zmniejszającą się kupę papieru po prawej stronie — papieru, który jeszcze przez maszynę tego dnia przejść musiał, złościłem się na każdą przeszkodę, co mnie zmuszała do uważniejszego traktowania klekoczącej maszynki.

Maszynka wysoka była dwie trzecie metra, szerokość jej była znacznie mniejszą — nie więcej nad третią część metra. Z łatwością więc wchodziła do niskiej szafki, której ścianki mogły być wyjmowane przy robocie i wkładane po skończeniu pracy. Jeden człowiek nie mógł podnieść maszynki i w razie konieczności przenoszenia jej z miejsca na

miejsce, trzeba było do niej dwóch ludzi. Gdy zaś był przy niej tylko jeden człowiek, musiał ją przesuwac, podnosząc z kolei to jeden, to drugi koniec maszynki. Przy przenosinach i przewożeniu z mieszkania do mieszkania, lub zmianie miasta, maszynkę rozbierano na części, różnej wielkości — największą była podstawa, ważąca połowę wagi całej maszynki — pakowano do koszów, wypełniano puste miejsca sianem lub pościelą i jazda w świat.

Maszynka, która ze swej paszczy wyrzuciła przed aresztowaniem setki tysięcy różnych wydawnictw, która przez dłuższy czas stanowiła cel poszukiwań ogromnej zgrai szpiclów i żandarmów, której dłuższe istnienie było naigrawaniem się z potęgi rządu carskiego — maszynka stała zupełnie odkryta na swej zwykłej podstawie, z pierwszą stronicą 36 numeru na swej ramie, gdy w noc lutową wpadli do nas żandarmi. Oglądano ją z pewnym podziwem i szacunkiem. Szpicle z ciekawością dotykali żelaza, dziwiąc się, że taka drobnostka tak duże znaczenie mieć może. Odbito na papierze stronicę zabita w ramy. Podpułkownik Gnoiński przeczytał półgłosem, dyktując protokół rewizji.

„Trzydziesty szósty numer „Robotnika“, data 25-ty luty. Artykuł wstępny „Tryumf swobody słowa“.

„Orłow, szef żandarmów „żandarma Europy“, Mikołaja I, odprowadzając razu pewnego swego znajomego, wyjeżdżającego za granicę, prosił go o załatwienie tam małego interesu. Gdy będziesz pan w Norymberdze — mówił mu — zajdź pan pod pomnik Gutenberga, wynalazcy druku, i pluń mu pan odemnie w oczy. Od niego całe zło na świecie pochodzi“.

„Wot wam i Gutienberg! — zwrócił się do mnie podpułkownik z sarkastycznym uśmiechem, wskazując na otaczających mnie i żonę policjantów. — Da, kak widitie, ot niewo wsie zło!“

Artykuł wstępny traktował o zniesieniu w Austrii stempla dziennikarskiego i o zamiarze naszych towarzyszy w Galicji wydawania codziennego pisma „Naprzód“. Tam był tryumf, tu porażka swobody słowa, pohańbienie wielkiego wynalazku Gutenberga.

Przyznam się, że pomimo wielu niewesołych chwil, spędzonych przy maszynce, pomimo, iż nieraz wściekałem się na nią przy robocie, wymyślając jej od „starego klekota“, „głupiego bydlęcia“ i „cholery“, ścisnęło mi się serce, gdym tę „cholere“ zobaczył w plugawych łapach szpicli w chwili przenoszenia jej z szafy do kosza. Gdy na kosz Gnoiński kładł pieczęcie, stałem zgryziony, jak gdyby zapadało wieko trumny nad kimś bliskim, serdecznie kochanym. Tyle nadziei, tyle mi-

łości, tyle poświęcenia było związane z tym kawałkiem żelaza, skazanym oto na milczenie i bezczynność!

Oprócz składania i odbijania druków na maszynce, mieliśmy jeszcze jedną techniczną robotę — obcinanie papieru. Arkusik papieru zwykłego jest za długim dla formatu „Robotnika“. Trzeba go skrócić. Przy biciu odezw trzeba również dopasować papier do wielkości odezwy. Robota to przykra, gdy się ją wykonywa zwykłym nożem. Karolek po niej zawsze miał spuchniętą rękę i pokaleczone palce. W dodatku jako odpadek od tej roboty pozostawały obcinki papieru w ogromnej ilości. Chowaliśmy je na razie do kosza. Następnie zaś korzystaliśmy z każdej okazji, by je zniszczyć — spalić w piecu. Specjalnie w tym celu kazaliśmy palić w piecach wieczorami, gdy łatwiej było uniknąć oka służącej. Codziennie wieczorem przed zejściem z roboty i rano przed jej rozpoczęciem oglądaliśmy wszystkie kąty drukarni, czy nie ma gdzie coś zapomnianego papieru lub czcionki, czy nie została gdzie plama od farby lub oliwy.

Przechodząc teraz do roboty redaktorskiej, zauważę przedewszystkiem, że wątpię, by był jakikolwiek redaktor na świecie, który w takiej jest zależności od zecera i techniki, jak redaktor „Robotnika“. Robota nad numerem zaczyna się od środka — zwykle od działu: korespondencje. Nie można inaczej postąpić, bo przecie robota ma trwać parę tygodni, mogą zajść różne wypadki, wymagające wypowiedzenia się pisma albo w artykułach, albo w kronice, kończącej numer. Odbija się stronę jedną w ciągu dnia i rzecz prosta, z tego, co już jest wydrukowane, niepodobna nic wyrzucić, choćby nadeszły świeże, większego znaczenia dane. Następnie wobec braku czcionek i sił technicznych wciąż trzeba się liczyć z czasem zecera, pisać to, co on w obecnej chwili pisać może.

Wreszcie przekłeta robota dopasowywania swej myśli do tej lub owej szpalty, do tej lub owej przestrzeni na papierze, pozostawionej do druku. Oto napisałem wstępny artykuł, do którego od środka zbliżyła się robota. Napisałem go, wkładając weń wszystko, co leżało na dnie duszy, myśląc wobec braku miejsca nad każdym słowem, dopasowując je do duszy i myśli przyszłego czytelnika. Następne artykuły już są wydrukowane, zecer składa i oblicza. Już złożył trzy czwarte wstępnego, gdy po obliczeniu wypada, że artykuł jest o ośm lub dziesięć wierszy za długi. Kładź go na łożo Prokusta, doszukuj się słów zbędnych, możliwych do wyrzucenia bez zmiany sensu, bez nadwężenia treści.

Albo na przykład, co się nieraz przy petitowych stronicach zdarzało. Jedna strona petitowa odbija się. drugą Karolek składa. Pod wieczór oświadcza, że mu zabrakło litery „r“.

„Wiecie — odzywa się do mnie — możebyście mi z parę tych „r“ wyrzucili z rękopisu, będzie z tym mniej kłopotu, niż przy jutrzejszej korekcie“.

Materiału do teki redaktora napływa dosyć dużo, lecz przeważnie jest to materiał do działu: korespondencje. Tych jest mnóstwo. Można by niemi cztery takie numery zapelnąć i jeszcze zostałoby trochę do piątego. Pisane ręką najczęściej niewprawną, nieraz bez składu i ładu, przeważnie rozwlekłe, zawierają one skargi i bóle tysięcy ludzi, którzy szukają dla nich ujścia w swym skromnym piśmie.

Przeczytujesz te dokumenty, wsłuchujesz się w to pasmo jęków i skarg. Umieścić wszystkiego nie można. Wybierając z pomiędzy mnóstwa korespondencyj część — resztę usuwasz na bok. Teraz trzeba te korespondencje przerobić, skrócić, lecz skrócić tak, by zachować w jakikolwiek sposób piętno duchowe, wyciśnięte na niej przez autora. Doszukujesz się więc w korespondencji jakichkolwiek określeń, frazesów, słów charakterystycznych, by je zachować w druku.

Wreszcie dział „korespondencje“ skończony. Nowy kłopot z kroniką i artykułami. Pismo ma charakter pisma codziennego, a zarazem wychodzi rzadko, raz na miesiąc, albo i rzadziej. Proszę w dziesięciu stronicach zmieścić miesięczne, albo i dwu-miesięczne wypadki, proszę wśród tej mnogości zatrzymać się na jednych, odrzucić inne, proszę wynaleźć tematy dla artykułów, tematy o tyle żywotne, o tyle będące na czasie, by z pisma, a raczej numeru, zrobiły organ żywy, odpowiadający nastrojowi i potrzebom chwili. W dodatku cała robota redaktorska prowadzona jest urywkami, obok codziennej, 4-o lub 5-cio godzinnej pracy przy maszynie, która to robota z powodów konspiracyjnych i technicznych jest główną, dominującą przy rozkładzie pracy.

Lecz wreszcie robota nad numerem ma się ku końcowi. Znamionem ten upragniony koniec przybycia t. zw. „ostatnich wiadomości“, dla których pozostawia się dwie stronice pisma, lub nawet tylko jedną. Następuje uroczysta chwila, gdy ostatnia strona idzie pod prasę.

Wytężona kilkutygodniowa praca skończona. Nastrój wśród pracowników jest dobroniosny, nieco podniecony i gorączkowy.

Na biurku, z którego usunięto wszystko, leżą dwie kupy zadrukowanego papieru. Są to arkusiki, zawierające po cztery stronice „Robotnika“. Trzecia kupa leży na stoliku obok maszyny, świeci ona jedna

białą stronicą — ostatnią, mającą pójść w tym numerze pod prasę. Jeden z nas staje do bicia. Oto rozlega się suchy szelest papieru, lekkie skrzypnięcie maszyny, arkusik wyskoczył z paszczy. Drugi z nas ze złożonymi już dwoma innymi arkusikami czeka. Oto ostatni arkusik już dopasowany i pierwszy egzemplarz nowego numeru gotów. Takim pójdzie w świat.

Robota na chwilę się przerywa. Oglądamy numer tak, jak gdybyśmy nie widzieli już dziesięć razy każdej literki, z których on się składa. W całości jednak to inaczej wygląda. Zapalamy papierosa, przerzucamy stronice, dyskutujemy nad wrażeniem, jakie ta lub owa część numeru wywołać może, omawiamy techniczne braki.

Ale my tu gadu, gadu — woła Karol, — a pociąg czekać nie będzie. Data już wydrukowana, cofać się niepodobna.

Po chwili słychać znowu masowy szelest papieru i lekki zgrzyt żelaza, kupka papieru po lewej stronie maszyny, papieru w całości już pokrytego czarnymi, świecącymi jeszcze od farby punkcikami, zwiększa się coraz bardziej.

Można już falcować! — mówi Karolek — nadążę z biciem.

Z biurka biorę notatki, porównywan z innymi. W notatkach jest oznaczona ilość egzemplarzy, wymaganych przez poszczególne organizacje. Koreguję ją, kładę przed sobą, zabieram kupkę odbitego ostatniego arkusika i zaczynam falcować.

Raz, dwa, trzy — trzy arkusiki trzymam w ręku, wstrząsam nimi, równam i wreszcie zalamuję przez pół, przyciskam palcem; rozczłonkowany dotąd numer, zbity w jedną całość, pada na podłogę. Za nim drugi, trzeci. Kupa na podłodze rośnie z każdą chwilą. Pracujemy jednak nie w milczeniu. Radość z powodu zakończenia pracy nie pozwala milczeć. Raz po raz zagląda do pokoju żona i paru urywanymi słowami bierze udział w naszej uroczystości. I dla niej praca, wyczerpująca nerwy, praca pilnowania służącej kończy się dzisiaj. Wszyscy promieniejemy z radości.

Mąci nieco radość konieczność pośpiechu. Trzeba zdążyć na pociąg na określoną godzinę, bo już wszystko w Warszawie jest umówione. Opóźniać się nie można bez naruszenia sprawności całej maszynery kolporterskiej.

Raz po raz któryś z nas spogląda na zegarek, mrucząc: „Czy zdążymy?“.

— Dla Warszawy egzemplarze już gotowe — odzywam się, oglą-

dając ogromną kupę papieru, leżącą obok krzesła. — Czy nie za ciężką będzie walizka z tą masą bibuły? Trzeba spróbować.

Walizka, wyciągnięta na środek pokoju, otwarta. Układam po 50 egz., oddzielając jedną kupkę od drugiej wąskim paskiem papieru. Tam przy podziale bibuły ludzie muszą się spieszyć, trzeba im ułatwiać robotę.

Wreszcie wszystko zapakowane, ułożone. Ubieramy się szybko, bierzemy w rękę pakunki i świeży Nr. „Robotnika“, opuszczamy drukarnię, puszczając się na niepewną podróż do rąk stałych odbiorców pisma. Chwila poczynania, zaturkotały koła dorożki. Jeden z nas powraca do domu z lekkim niepokojem w sercu, drugi trochę wzruszony myśli w dorożce nad przejściem przez dworzec wiedeński w Warszawie, dworzec mocno obsadzony szpiclami i „zielonymi“ dozorcami.

(Walka rewolucyjna w zab. ros. (Bibuła) 1903).

Byłem w świetnym humorze, kiedy w słoneczne południe kwietniowe wprowadzono mnie do biura X. pawilonu cytadeli warszawskiej. Łódzkie więzienie w którym spędziłem dwa miesiące i z którego mnie przywieziono do cytadeli, dokuczyło mi śmiertelnie. Przypominało mi ono najgorsze więzienie sybirskie. Wstrętny wikt, na którym prawdopodobnie robił majątek pan zawiadowca, malutka cela, bez kawałka mebla w niej, zakaz palenia tytoniu w niej — wszystko to obrzydziło mi tę wstrętną dziurę. Byłem więc ogromnie zadowolony, że raz nareszcie przenoszą mnie do Warszawy. Lecz bodaj najpoważniejszym powodem doskonałego humoru było podniecenie „jakie odczuwałem, wstępując w mury instytucji, która tak ściśle się splotła z męczeńskimi dziejami naszej Ojczyzny.

Palila mnie wprost ciekawość. Chciałem wiedzieć, jakie też wrażenie wywrze na mnie cytadela. Byłem więc wesół i podniecony, gdy wchodziłem w asystencję dwóch żandarmów do biura pawilonu, a na moje przywitanie podnosił się z krzesła gospodarz zakładu, sztab-rotmistrz żandarmerji, p. Farmunda. Przywitaliśmy się z daleka ukłonem i gospodarz gościem zaprosił mnie zająć krzesło naprzeciwko niego.

Pan Farmunda był dobrym typem żandarma. Grzeczny i słodki w obejściu, o ciemnych oczach wyrazu łaszącego się kota. Ruchy

— miał — w pendant do figury i rysów twarzy — okrągłe, uśmiešek na ustach pod wymuskany wąsik przymilający się. Otworzył księgę i notował w niej moje odpowiedzi na zwykłe w tych wypadkach pytania o wieku, miejscu urodzenia i t. d.

Po ukończeniu tej formalności zwrócił się do mnie z uśmiechem: — Przepraszam, jeszcze jedna mała formalność, niech się pan rozbierze, musimy na pana zrobić rewizję.

Zrzuciłem marynarkę i kamizelkę, które natychmiast chwycił stojący z boku wachmistrz. Przyszło mi jednak na myśl, że mogę się uwolnić od przyjemności paradowania wobec żandarmów w stroju Adama.

— Ależ panie rotmistrzu — zawołałem — czy nie będzie to zbytek gorliwości z pańskiej strony? Przecie od czasu aresztowania, będzie to już czwarta rewizja. Raz przy aresztowaniu, drugi raz w więzieniu łódzkim, trzeci w Warszawie w zarządzie gubernjalnym, czwarty raz tutaj.

— Ach! pana już rewidowali w zarządzie! — zgodził się ze mną pan rotmistrz — w takim razie to rzeczywiście zbyteczne. Niech tylko pan będzie łaskaw zdjąć krawat, bo ten zostanie u nas.

— Krawat? — pytałem zdumiony, gdyż pierwszy raz spotkałem się z ostracyzmem, stosowanym do tak niewinnej części ubrania — a to czemu?...

— Doprawdy, nie umię panu wytłumaczyć — odparł Farmunda — ale u nas takie prawo; więźniowie siedzą bez krawatów.

Wprawiło to mnie w jeszcze weselszy humor. Takie to echt russisch w swej mądrości! Byłem w więzieniu, gdzie więźniom odbierają wszystko absolutnie i przebierają w odzież więzienną, lecz zostawić człowiekowi bieliznę, garnitur, kapelusz, palto, ba, wnosić do celi, jak to robią w cytadeli, walizki i koszyki z całym bagażem więźnia, a odebrać mu jako rzecz najniebezpieczniejszą — krawat, tegom się nie spodziewałem, to było wspaniałe i zaimponowało mi oryginalnością.

— No, trudno — rzekłem wreszcie, śmiejąc się, choć to powiadają, że przyzwoiciej jest chodzić bez koszuli niż bez krawatu, ale skoro prawo tego wymaga, proszę.

Farmunda uśmiechnął się. Spytałem go o tytoń.

— O! to już odemnie nie zależy, proszę pana — mówił po polsku z nieco rosyjskim akcentem — to rostrzygnie oficer od badań, chociaż jestem przekonany, że pan nie spotka się z odmową

w tym wypadku. Co do mnie zaś, to ja pozwalałam wypisywać z miasta prawie wszystko, nawet wino i piwo — dodał z odcieniem dumy. Naturalnie, jestem pewny, że pan nie będzie nadużywał...

— O bądź pan spokojny — przerwałem. Samotność nie usposabia do picia.

— To już wszystko — rzekł Farmunda wstając z krzesła — jeżeli pan do mnie będzie miał jakiś interes, skargę, lub pretensję, niech pan będzie łaskaw powiedzieć o tem dyżurnemu żandarmowi, natychmiast przyjdę do pana. Bagaże pańskie wniosą panu do celi.

— Numer 39-ty — rzucił po rosyjsku, zwracając się do wachmistrza.

Skloniłem się na pożegnanie i wyszedłem z pokoju, mając przed sobą żandarma, a za sobą żołnierza z warty, uzbrojonego w karabin z bagnetem. Uśmiechnąłem się z zadowolenia, tak paradnej asysty nie spotkałem w żadnym więzieniu.

Sprowadzono mię na dół po tych samych schodach, przez które wszedłem do zakładu, potem weszliśmy na lewo w korytarz, było to już więzienie właściwe. Dość szeroki, o nieprawidłowych konturach korytarz, prowadził środkiem, na prawo zaś i na lewo szły kolejno drzwi do cel więziennych. W tym korytarzu znajdowało się 5 cel. I na te pięć cel stał przy ścianie żołnierz na warcie i jako gospodarz korytarza przechadzał się po nim żandarm. Skręciliśmy raz jeszcze na prawo i weszliśmy do nowego korytarza.

Ten był ciemniejszym i dłuższym, tutaj było 12 cel z taką samą co w poprzednim obsługą. Przy ostatnich drzwiach na lewo, żandarm prowadzący mnie, zatrzymał się i skinął na swego kolegę, dozoruującego korytarz. Ten odsunął kolaniem zasuwę i otworzył drzwi, były to drzwi do celi numer 39-ty przeznaczonej dla mnie. Wszedłem do niej, a za chwilę wniesiono również moje walizki z rozrzuconemi w niej rzeczami.

Byłem więc już w cytadeli.

Rzuciłem okiem na celę. Cella była duża, ściany szare, źle pobielone, podłoga ciemno-cementowa. U względnie nisko położonego okna, stał stół niesłychanie brudny, tak, że pod warstwą tłuszczu i kurzu, trudno było odnaleźć ślady drzewa, przed stołem skromny wiejski drewniany stółek, przy ścianie łóżko żelazne, którego części były wykrzywione i pogięte do tego stopnia, że niepodobna było nigdzie dojrzeć linii prostej, w kącie stały moje walizki. W pokoju czuć było stęchłą w powietrzu z zapachem, właściwym poko-

jom dawno nieprzewietrzanym i zamieszkałym stale. Drzwi drewniane również brudne, na których świeciły plamy białe, powstałe po odłupaniu z nich drzazgi. Z korytarza dochodził do mnie szmer głosów i urywany śmiech — to żandarmi z dwóch sąsiednich korytarzów skracali sobie nudy dozoruowania pogawędką. Od czasu do czasu rozlegały się po korytarzu kroki przechodzących żandarmów i żołnierzy.

Gdym to wszystko obejrzał i wsłuchał się w szmery i dźwięki, dolatujące z korytarza i innych cel, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że gdzieś już widział coś podobnego.

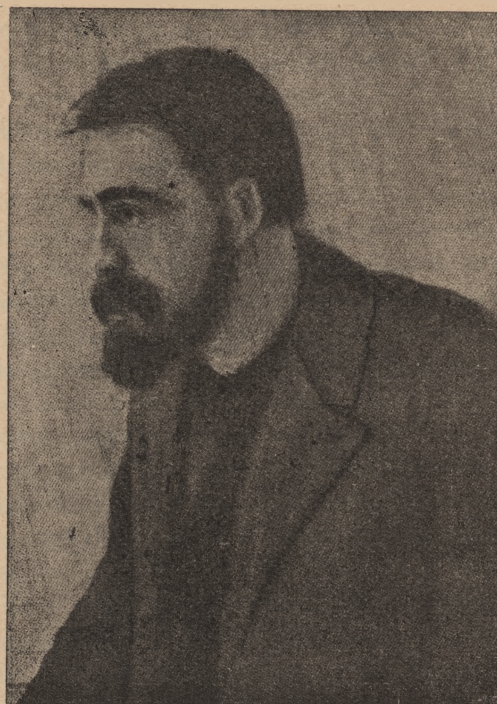
Nie! nie było to inne więzienie, stanowczo nie! Było to coś związanego z Litwą, bo mi się nagle przypomniały moje włóczęgi po tym kraju.

Nie chcąc sobie psuć wrażenia, położyłem się na łóżku i zamknąłem oczy. Po chwili zrozumiałem to dziwaczne skojarzenie wrażeń. Tak, pamiętam dobrze! Kilka lat temu przedtem wypadło mi być w jednym z zapadłych kątów Litwy. Spotkała mię ulewa i zmokły, zziębnięty kazałem furmanowi zatrzymać się w przydrożnej karczynie, która stała nieco odosobniona od niewielkiej wioseczki wśród lasu. Karczma była murowana i zdaleka wyglądała dosyć przyzwoicie. Lecz podjechawszy bliżej, spostrzegłem, że to tylko resztki dawnej świetności składały się na pozory przyzwoitości, w istocie zaś była to rudera. Tynk kawałkami odpadł ze ścian, tworząc rumowisko na ziemi i smutne, brudne plamy w murze, w dachu świeciły się dziury, szyby w oknach, względnie dużych, składały się albo z kawałków szkła misternie i dziwacznie sklejonych, albo też nie istniały wcale.

— We drzwiach spotkałem starego żyda, który mię wprowadził do pokoju, przeznaczonego dla „puryców”. Ten właśnie pokój, w którym, widocznie długo nikt nie gościł przedemną, był jak gdyby kopją mojej celi w X. pawilonie. Brudny stół i podłoga, wykoszławione łóżko, poszarpane i połupane drzwi, nawet drewniana brudna, napełniona piaskiem spluwaczka w kącie pokoju, wszystko to, a szczególnie miły zapach zgnilizny, nasunęły mi tak żywo przed oczy karczmę litewską, widzianą kilka lat temu, że mi się przypomniał i rozmowę z gospodarzem karczmy, starym Ickiem o melancholijnem spojrzeniu zarzynanej tępem nożem kozy.

Tak! Icek miał powody być melancholijnym. Tak dobrze powodziło m. się dawniej. Karczma stała dawniej na drodze do Wilna.

Przeciągały nią i sute pańskie kolasy i ładne bryki szlacheckie ładowne wozy chłopskie. Wszystko to zatrzymywało się przy karczmie Icka, popasało tam, piło, jadło, nocowało. Sam hrabia X. — Icek wymienił mi znane nazwisko litewskiego magnata — nocował u niego ot tutaj, w tej samej stancji. Icek miał wówczas czem przyjąć takich panów. Sprowadzał nawet z samego Wilna doskonałe wino, a gite Madera od pan Zabłocki i Kalita. Dobrze były czasy! A teraz! teraz Icek bankrutuje i niema czem nawet popra-



Józef Piłsudski z czasów w X. pawilonie.

wić karczmy. Przeprowadzili kolej i o parę mil postawili stację, do której droga do dalszych okolic wypada nie tędy. I Icek musi bankrutować. Icek nie wie nawet czy będzie mógł przyjąć godnie takiego panicza, co to do niego wypadkiem przyjechał. Samowar jeszcze ma, już jego córka gostawia, zaraz go przyniesie, ale

chleb jest tylko chłopski-razowy może jeszcze Sura znajdzie parę jaj — ale mleka ani mięsa już niema.

I Sura, młoda, tęga żydówka, nie myta, nie czesana od Bóg wie kiedy, z zaspanemi oczyma w brudnej zaszarganej spódnicy i nieszczelnie zapiętym kaftaniku — Sura wniosła przedmiot dumy bankrutującej karczmy, samowar. Stylowy samowar. Pękaty gotujący się z niesłychanym hałasem, jękiem i świstem nieczyszczony conajmniej od kilku lat, pokryty zielonemi plamami, zakapany stearyną, z zakatarzonym, kapiącym kranem i nierównemi nóżkami.

Zgrzyt otwieranych drzwi przerwał mi te myśli. Do celi wpadł z obiadem żołnierz posługacz. I ten był stylowym. Pociągał co chwilę z przyjemnym szelestem swym długim nosem, twarz i ręce miał jakiegoś nieokreślonego, ziemistego koloru. Ubranie, mundur i spodnie wisiały nań strzępami, a buty były wykrzywione i połatane. Postawił na stole obiad i z miną człowieka, spełniającego poważny obowiązek, wyjął z kieszeni od spodni cynową łyżkę, którą położył na stole.

Wspaniale! miał przytem tak dobroduszną minę, że się nie zdobył na oburzenie i w myśli nazwałem go Surą. Swoją jednak drogą siadłem do obiadu ze złością. Ta łyżka wyciągnięta z brudnej kieszeni zanoszonych spodni irytowała mnie. Masz ci bankrutującą karczmę — mruknąłem z gniewem. — Ileż to już pokoleń siedząc w tej dziurze, marzyło o zbliżającym się jej bankructwie!

(Kal. rob. 1903).

Była to niezmiernie przykra gra. Nie mówiąc o głodzie, który mi bardzo dokuczał, tembardziej, że żandarmi przysyłali mi w tym czasie wyszukane i smaczne obiady, które musiałem odrzucać..., lecz samo udawanie obłędu, ciągła baczność na swe ruchy, na wyraz twarzy, konieczność wypowiadania od czasu do czasu jakichś nonsensów, męczyła mnie niezmiernie, a czasem wprost śmieszyła widokiem przerażenia, jakie wzbudzało moje zachowanie się w żandarmach... Po kilku tygodniach byłem tak zmęczony, iż postanowiłem przerwać. Siły mnie opuszczały, ledwie chodziłem... Wydawało mi się czasami, że stoję u brzegu jakiejś otchłani, w którą zapadnę się już niepowrotnie... Przestałem więc udawać, zacząłem jeść i zachowywać się zupełnie naturalnie. Myślałem sobie, że się nie powiodło! Ha, trudno!... Cóż robić!... Wtem drzwi otwierają się, wchodzi żandarmi, wołają mnie do kance-

larji, niosą za mną rzeczy... Wywieziono mnie do Petersburga, do szpitala Świętego Mikołaja. Okazało się, że przerwa w obłądzeniu właśnie była potrzebna w rozwoju choroby, że ona ostatecznie przekonała obserwatorów, iż jestem chory!...

(Z opowiadań ustnych, zanotowanych przez W. Sieroszemskiego).

Śamiełam w X pawilonie zawołano mnie pięknego dnia sierpniowego na badanie. Otoczony strażą, wszedłem do pokoju, w którym zastałem oficera żandarmerji, schylonego nad arkuszem papieru. Usiadłem naprzeciw niego i rzuciłem okiem na stół, zielonem suknem obity. Stół był pokryty prawie zupełnie papierami urzędowymi, protokołami i innymi produktami pracy żandarmerskiej. Lecz na brzeжку stołu ujrzałem płamę, żywym, czerwonym kolorem rozweselającą nieco szare, bezbarwne tło przybytku nowoczesnej inkwizycji. Przyjrzałem się tej plamie uważniej i mimowoli wyciągnąłem w tym kierunku rękę. Była to broszura: „Czego chcą socjaliści“. Niegdyś, przed paru laty, byłem obecnym przy jej drukarskich narodzinach w Londynie.

Pisał ją emigrant, tułacz, obce wycierający kąty. Pisał ją gdzieś w górzystej Szwajcarji, myślą i uczuciem tkwiąc w równinach mazowieckich, współczując wszystkimi nerwami niedoli dalekich w przestrzeni, lecz bliskich w sercu chłopów z nad Wisły. Składali ją w Londynie zecerzy, również emigranci; składali, nieraz nie wiedząc, czy jutro kawałek mięsa ujrzą na swym talerzu, z myślą o dalekim ojczystym kraju. I oto myśl i troska serdeczna autora, skryształizowana pracą zecerów w czarnych, drobnych literkach, rozsianych po szmatkach papieru, ubrana w barwną sukienkę okładki, przybrała formę tego, co dalsi jej opiekunowie nazywają żartobliwie bibułą.

Jako bibuła, książeczka, zgodnie z intencją swych ojców, powędrowała z mglistej Anglji do ich ojczyzny. Gdyby ona mówić, opowiadać mogła, usłyszano by z pewnością ciekawą, pełną romantycznych przygód, historję. Tulila ją może do gorącego łona, opakowana bibułą dromaderka partyjna, leżała ona w składach, w ciemnych koszach i walizkach. Schowana na dnie „brunetki“ czy „blondynki“, trzęsła się w wagonach, przemykała się przez sieci trzeciej linji zielonych, drżała pod okiem szpiclów i żandarmów. Wreszcie poszła w świat, rozpoczęła swą służbę.

Była może i w podartych kieszeniach szczelnie zapiętych mundu-

rów akademickich i w zaszmełowanej, przesiąklej potem kieszeni robotnika na fabryce, ukrywała się w zanadrzu siermięgi chłopskiej. Przyjmowano ją różnie; uśmiechem pobłażliwości, okrzykiem zachwytu, wzrokiem nienawiści. I oto wreszcie przyszedł koniec, śmierć obywatelska książeczki. Pod osłoną mroków nocy do ostatniego jej przybytku wpadli jej prześladowcy — błękitne podpory tronu carskiego. Z brzękiem ostróg, z hałasem nieznanym, obcym jej wyrazów, wyciągnięto ją skądś z ukrycia, być może brutalnie naigrywano się z jej bezsilności. Rzucono ją pogardliwie na stół, — ją, córkę swobody — umieszczono w sąsiedztwie z wstrętnymi, ociekającymi krwią, cuchnącymi katownią papierami — aktami przemocy i niewoli.

W tem samem położeniu byłem i ja, jej towarzysz broni, świadek jej urodzin w obcym kraju. Skończyły się dla nas piękne dni swobody, przerwało się pasmo przygód, urwała się dla nas walka, a zaczęły się szare, jednostajne dni poniżającej niewoli. Byliśmy tym jeszcze razem zwyciężeni. Lecz to spotkanie w domu niewoli — krótkotrwałe co prawda, bo żandarm, spostrzegłszy kierunek mego wzroku, przykrył pospiesznie czerwoną, wołającą o życie, płamę szarym urzędowym papierem — sprawiło mi przyjemność. Byliśmy zwyciężeni, ale gdyby ta drobna książeczka myśleć i mówić była w stanie, to milknąć na wieki i w mrocznych murach katowni carskiej, powiedziełby mogła swym wrogom słowami poety:

Choć mi się oprzesz dzisiaj — przyszłość moja

I moje będzie za grobem zwycięstwo!

(Walka rewol. w zab. ros., 1903 r.)

Proszę tylko, byś nie robił ze mnie „dobrego oficera, lub mazgaja i sentymentalistę“, t. j. człowieka poświęcenia, rozpinającego się na krzyżu ludzkości, czy czego tam. Byłem do pewnego stopnia takim, lecz było to za czasów młodości górnej i chmurnej; teraz nie, to minęło i minęło bezpowrotnie, to mazgajstwo i krzyżowanie dokuczyło mi, gdym na to u naszych inteligentów patrzył; takie to słabe i beznadziejne. Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to ubliża — ubliża mi jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą! Niech dzieci się bawią w hodowanie kwiatów, czy socjalizmu, czy polskości, czy czego innego w wychodkowej (nie nawet klozetowej) atmosferze — ja nie mogę. To nie sentymentalizm, nie mazgaj-

Przemysław Strzelów z Komendantem na czele przez ul. Zyblikiewicza we Lwowie w 1913 r.
na cmentarz Łyczakowski — podczas 50-lecia powstania 1863 r.



stwo, nie maszynka ewolucji społecznej, czy tam co — to zwyczajne człowieczeństwo. Chcę zwyciężyć, a bez walki i to walki na ostro, jestem nie zagajnikiem nawet a wprost bydlęciem, okładanem kijem czy nahajką. Rozumiesz chyba mnie. Nie rozpacz, nie poświęcenie mną kieruje, a chęć zwyciężenia, przygotowania zwycięstwa.

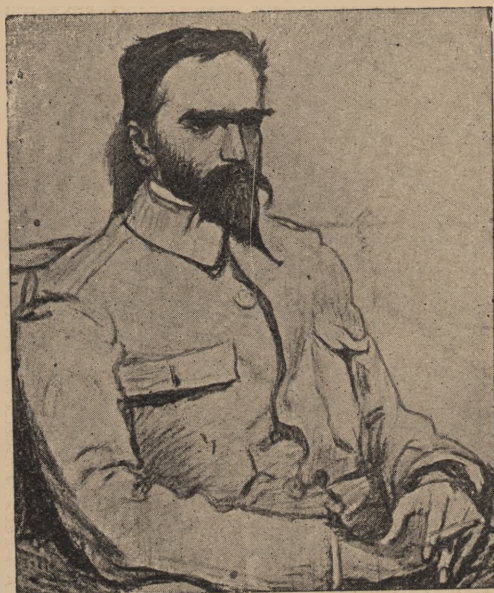
„Ostatnią moją ideą, której jeszcze nie rozwinąłem nigdzie, jest konieczność w naszych warunkach wytworzenia każdej partji, a tembardziej esowej funkcji siły fizycznej, funkcji, że użyję tak nieznosnego dla „humanitarystów” określenia (histeryczne panny, nie znoszące drapania po szkle, ale znoszące pranie ich po pysku) przemocy brutalnej. Tę ideę chciałem przeprowadzić w swojej działalności ostatnich lat i przyrzekłem sobie, że albo swoje zrobię albo zginę. Zrobiłem już dużo w tym kierunku, ale za mało, by mózdz wypocząć na laurach i zająć się serjo przygotowaniem bezpośrednim do walki i teraz stawiam siebie na kartę.

„Chcę właśnie sobą, którego nazywano i szlachetnym socjalistą i człowiekiem, o którym nawet wrogowie paskudztwa głośno nie powiedzą, człowiekiem zresztą, który ma trochę zasługi w kulturze ogólnonarodowej, podkreślić tę gorzką, bardzo gorzką prawdę, że w społeczeństwie, które walczyć o siebie nie umie, które cofa się przed każdym batem, spadającym na twarz, ludzie ginąć muszą nawet w tem, co nie jest szczytnem, pięknem i wielkiem”.

(Z listu do I. Daszyńskiego w 1908 r. — z książki I. Daszyńskiego: „Wielki Człowiek w Polsce”).

👤 Ochoodzę z kraju, gdzie ludzie nie są przyzwyczajeni do otwartego wypowiedania swych uczuć, z kraju niewoli. Przeto mi trudno opowiadać na tyle komplementów i dziwno przyjmować tyle zaszczytów. Ale poruszono tutaj rzecz, która mnie głębiej obchodzi, rzecz ambicji polskich, których przedstawicielem mnie nazwać zechciano. Bolało mnie już oddawna, że w społeczeństwie polskim nie było szerokiego rozmachu, gniołła mnie małość życia i aspiracji, wynik niewoli. Być może jestem romantykiem, być może, że dlatego, że nigdy nie byłem zwolennikiem pracy organicznej, wszedłem w tę wojnę. Ale porwało mnie w niej coś wielkiego i to, że otworzyła się możliwość czynu polskiego. Byłem w tem tylko wyrazicielem tego w Polsce, co się dusiło w atmosferze niewoli. Dzięki tej części, która postawiła pierwsze wojenne

kroki, mogliśmy pociągnąć za sobą choć część narodu. Trzeba było bowiem, aby to, co było szaleństwem, stało się i także rozumem polskim. Ten głos, ta odpowiedź na nasze zbrojne wezwanie, odezwał się z kraju, który z dawna wolności zakosztował, nie z kraju niewoli, nie z zaboru rosyjskiego. W Galicji znaleźliśmy poparcie i zrozumienie. Szaleństwem wiele zrobić można, ale uratować nim nic nie można. Mówiono, że Le-



Komendant w sierpniu 1914 r.

giony walczą w obronie honoru Polski. Ale sama walka i poświęcenie w obronie honoru nam nie wystarcza. Jako rycerze walczący musimy mieć nie tylko siłę ramienia, ale moc głowy i serca. Tem uzupełnieniem jest zjednoczenie narodu w N. K. N. Rozum stanu musi uzupełnić naszą pracę i krwawe nasze ofiary!

(Z przemówienia we Wiedniu 1914 r.)

Gdy szedł 6. sierpnia w pole, oprócz mniej czy więcej maksymalnych celów, o których słusznie sądzi Pan Prezes, gdy mówi, że próżną jest rzeczą dociekać realizacji szczegółów konstrukcji, stawiałem sobie minimalne zadanie, zgodnie z wysokością poziomu sprawy wojskowej w Polsce. Nie szło mi w 1914 roku o to, jak w szczegółach ma być rozstrzyganą kwestja wojska w Polsce, lecz po prostu o to, czy wogóle żołnierz polski ma pozostać istotą mistyczną, pozbawioną krwi i ciała. Chciałem, by w wielkiej wojnie światowej, toczzonej na polskiej ziemi, gdy żołnierz ze swym mundurem i bagnietem wdrze się do każdej niemal chaty i zagrody naszych wsi, żołnierz polski nie pozostał malowaną, ogladaną przez grzeczne dzieci nieraz pokryjomu po kątach. Chciałem, by Polska, która tak gruntownie po 63 roku o mieczu zapomniała, widziała go błyszczącym w powietrzu w rękach swoich żołnierzy.

I niech mi Pan Prezes wierzy, gdybym mógł swych młodych żołnierzy śniących w grobie o Polsce zapytać o zdanie szczere — a umarli i umierający nie kłamią — powiedzieliby wraz ze mną, ich wodzem, że nie żałujemy ani krwi, ani ofiar, gdy ten sen i marzenie długich lat się ziścił. Żołnierz polski, własnymi polskimi siłami, stworzony, dał swej Ojczyźnie nową wartość, której bez niego nie posiadała. Jestem, Panie Prezesie dumny z tego, że byłem duszą tego żołnierskiego dzieła. Niestety tak skromnego w swoim zakresie, pozostanę zaś bez względu na wszystko zawsze wdzięcznym wszystkim tym, którzy do jego urzeczywistnienia się przyczynili.

(Z listu do prof. dr. Jamorskiego 6. 10. 1916 r.)

Wiedziałem, że Polska będzie terenem wojny, i że zaborcy w stosunku do moich rodaków będą mieć o wiele większą moc i uznanie, niż ja. Ale już na początku wojny, wbrew ówczesnej opinji, liczyłem, że wojna osłabia i wyczerpuje przedewszystkiem zwyciężonego, ale i zwycięzcę. Wiedziałem, że żaden z zaborców o Polsce nie myśli, że nie tylko nie jest ona ich celem, ale wprost przeciwnie — przeszkodą. Rodacy moi zaś woleli sądzić, że każdy z zaborów jest celem specjalnego umiłowania dla zaborcy i tem się tłumaczy efekt trzech odezw, rzuconych w świat przez zaborców. One sprawiły, że w zaborze austriackim i rosyjskim każdy wierzył swemu panu, braki zaś Wielkopolan musiałem od razu z rachunku swego wyrzucić. Kiedy przyszedłem do przekonania,

że o Polskę nikt bić się nie chce i że momenty polityczne nie mogą odgrywać tu żadnej roli, musiałem robić rachunek na podstawie twardej zasady „Do ut des”. Mogę dać albo żołnierza, albo, że użyjemy tego wyrażenia, pracę szpiegowską. Musiałem sobie powiedzieć, że tej drugiej pracy, wskutek mego charakteru, wykonać nie mogę i zdecydowałem się dać to, co wydało się w tym wypadku najtrudniejszym, dać wyrobione ramię żołnierza, które w dodatku zarobić sobie musi dopiero



W Pierwszej Brygadzie 1914-15.

przez ciężki trud na miano żołnierza, nietylko u obcych, ale i u swoich. A potem zapytałem się, jaki zabór może dać warunki dla wytworzenia siły zbrojnej, któraby zaważyła przy końcu, gdy wszyscy już, zwycięzcy i zwyciężeni osłabieni będą pod obuchem wojny. Odrzucając w ten sposób zrozumiałem, że jedynym krajem, gdzie tę robotę rozpocząć i rozwinąć można, jest Austria. Liczyłem, że Niemcy ze swą żelazną orga-

nizacją państwową, ze swą maszyną rzucają odrzucają wszystko, co jest zdadne do walki. Rosja ze swym wewnętrznym poczuciem siły, jako państwo ze swym systemem przemocy w stosunku do poddanych, musiała być wykreślona z mojego rachunku. Pozostała Austria, państwo najsłabsze, utrzymujące się przy życiu, jako typ ekwilibrystyki politycznej, zależne od swoich podwładnych, najłatwiejsze do gadania choćby metodą t. zw. „austriackiego gadania”. W rozmowach, które wówczas prowadziłem, stawałem na stanowisku, że żądam od Austrii tylko broni, żadnych politycznych warunków nie przyjmuję. Grożono mi aresztem wszystkich organizacji strzeleckich i internowaniem mnie. Od warunków tych nie ustąpiłem i dlatego to w dniu 5 sierpnia mieliście tak nędzną broń i tak nędzne wyekwipowanie. Nie przyjąłem upokarzających warunków, chcąc zachować siłę moralną. Kiedym w dniu 6-tym sierpnia mówił do generała Sosnkowskiego, że czeka nas śmierć, lub wielka sława, wiercie mi koledzy, bardziej w tę śmierć niż w sławę wierzyłem. Po roku naszych walk legjonowych byłem naprawdę zdziwiony, że nasza garstka jeszcze żyje, że nie została jeszcze zupełnie zapomniana w tym pożarze dziejowym. W moim rachunku, który wówczas robiłem, jedna pozycja dawała mi pewność siebie. Byliśmy wtedy pełni dumy żołnierskiej i sławy. Bez długich przygotowań staliście się wybitnym żołnierzem, siłą cenioną, częstokroć bardziej wartościową, niż własne siły zaborców, lecz równocześnie znalazłem przeszkody, stawiane rozwojowi siły liczebnej naszej armii.

(Z przemówienia w Krakowie 1922 r.)

Mojso, gdy wyrusza na wojnę, zaczyna od pracy, od której myśmy zacząć także musieli, od t. zw. mobilizacji. Zaopatrzenie żołnierza we wszystko, co mu jest potrzebne do prowadzenia wojny, wyznaczenie miejsc koncentracji, najdogodniejszych dla rozpoczęcia zgóry przewidzianych ruchów operacyjnych, jest pierwszą pracą żołnierską, która przez żołnierzy dokonana być musi. Przystąpiłem też i ja w Krakowie do mobilizacji. Lecz, moi Panowie, w jakich warunkach! Nie miałem ani koszar, które są miejscem zbiórki, ani augmentacyjnych magazynów, z którychby można dostarczyć wyekwipowanie dla żołnierzy, nie miałem nawet wygodnej kancelarii, gdziebym sam, albo wyznaczeni przeze mnie ludzie mogli zasiąść do trudnej pracy. Ta szalona robota

mobilizowania, gdy nad głową stoi wyznaczony termin, na który trzeba być gotowym, ta masa szczegółów, które się narzucają i które przepracować trzeba, jest jednym z najcięższych wysiłków oficera i żołnierza. Robota ta wysysa z każdego oficera wszystko, co człowiek dać może, i na podstawie wszystkich wspomnień ludzi, którzy przechodzili przez mobilizację, wiem, że po jej wykończeniu siadali do wagonów śmiertelnie znużeni, o niczem myśleć już niezdolni. Dokonywałem tej pracy w warunkach tysiąc razy gorszych niż moje otoczenie. Wiedziałem dobrze, że jestem obserwowany przez oczy niechętne, które zamierzały wydać sąd surowy o mnie i moich żołnierzach. Liczba, którą mogłem zorganizować, odpowiadała mniej więcej słabemu pułkowi na stopie



Komendant na Podhalu w 1914 r.

wojennej. Postawiłem oddział w tym samym terminie, w jakim mobilizowały się pułki armji t. zw. regularnej. W cztery dni robota była skończona i wydano rozkazy do wymarszu.

Przyszedł pierwszy marsz. W myśl rozkazów austriackich władz wojskowych miałem dotrzeć tylko do małego miasteczka Jędrzejowa. Marsz stukilometrowy, rozłożony na 4 do 5 dni, uciążliwy, bo odbywany pod grozą kontaktu z nieprzyjacielem. Z krótkich słów, które usłyszałem od wojskowych władz austriackich przy odbieraniu ostatecznych informacji, wywnioskowałem, że władze te do mnie i do moich żołnierzy żadnego zaufania nie mają i że, wyznaczając mi ten Jędrzejów, nawet nie wierzą, bym mógł tam dotrzeć. Dlatego może nie

wyznaczono nam żadnego dalszego celu marszu. Co więcej, dalej poza Jędrzejów posunąć się nam nie było wolno. Kielce, najbliższe większe miasto, zostało wyznaczone w planie koncentracyjnych sztabów państw centralnych, jako punkt styczny wojsk niemieckich i austriackich. Nie chciano tam widocznie dopuścić jakiegoś „bałaganu” o charakterze polskim, nie chciano pomiędzy oddziały austriackie i niemieckie wpuszczać do tego styku jakiegoś niewyraźnego elementu, jakim niechybnie byliśmy nietylko dla dowództwa austriackiego, ale i dla wszystkich. Z rozmowy pomiędzy oficerami austriackimi wywnioskowałem, że według ich przekonania dalej poza Jędrzejowem będziemy, mówiąc ich technicznym językiem, „überraunt” przez austriacką kawalerję. Dzięki przekornej naturze legjonowej postanowiłem nie dopuścić, by nas wyprzedzono. Natychmiast wydany został rozkaz jak najszybszego marszu, żeby nie dać się prześcignąć kawalerji, ale odwrotnie, aby nasze piesze oddziały kawalerję wyprzedziły. Nie powiem, abym chciał teraz zachwalać swe czyny; miały one w sobie dużo lekkomyślności i nieostrożności. Plan jednak został w czyn wprowadzony. Strzeleckie oddziały awangardy weszły do Kielc pierwsze i dopiero później zjawiała się awangarda kawalerji w postaci szwadronu dragonów austriackich. Byliśmy w Kielcach pierwsi.

(Z przemówienia we Lwowie 1923 r.)

 czasie, w którym byliśmy przyczepieni do 1-go korpusu austriackiego, składającego się przecież z 90 proc. żołnierzy i 60 proc. oficerów-Polaków, w okresie walk, toczonych w powiatach sandomierskim i opatowskim, otrzymałem raz pewnego od komendy tego korpusu rozkaz okólny. Głosił on, jak dla Polaków, cynicznie, że wojna nie toczy się wcale o polskie interesy, że zatem komenda korpusu wymaga, aby w stosunku do ludności zachowywać się jak najsurowiej, jako do ludności wrogiej, i że koniecznem jest utrzymanie autorytetu wojska, chociażby jak najdrastyczniejszymi środkami. Osobiście ten rozkaz odesłałem z oświadczeniem, że słuchać go nie będę. Lecz proszę wyobrazić sobie uczucia oficerów i żołnierzy-Polaków, którzy w opatowskim mieli się zachowywać w stosunku do swoich rodaków jak najbardziej wrogo i surowo.

Oto obrazek drugi. W czerwcu 1915 r. z tego samego sandomierskiego zostałem wezwany do naczelnej Komendy austriackiej. Przejeź-

dżając w aucie wzdłuż etapów pierwszej armji austriackiej, skonstatawałem, że w miasteczkach polskich nakazano wszystkim mieszkańcom, nie wyłączając kobiet, schodzić z chodników na ulicę przy spotkaniu



Wódz Legjonów 1914—1915.

oficerów, wszystkim zaś mężczyznom zdejmować przed nimi nakrycie głowy. W Komendzie Naczelnej austriackiej zrobiłem z tego powodu awanturę i oświadczyłem, że zarówno ja, jak i moi oficerowie, zach-

wywać się będą odwrotnie i sami przed każdą kobietą będą schodzili z chodnika na ulicę.

Nie mogę wreszcie przytoczyć tu charakterystycznej odpowiedzi, którą otrzymałem raz w sztabie sławnego Hindenburga w Kielcach, gdy dawał drastyczne przykłady sposobu zachowania się niemieckich żołnierzy i oficerów w stosunku do ludności. Twierdziłem, że możnaby zupełnie śmiało tych szykan nie robić i nie zaczepiać naprzykład rozmownie na ulicach kobiet pytaniem, gdzie tu jest dom publiczny, nie palić w piecach meblami i nie rozbijać wszystkich szkieł od lamp przy opuszczaniu wsi lub miasteczka. Wyższy oficer sztabu, z którym w tej kwestji rozmawiałem, po obietnicy wydania rozkazu polecającego inne postępowanie, dodał filozoficznie: „Panie, gdyśmy wchodzili do Polski, byliśmy zupełnie niepewni tego, jak się ludność do nas odnosić będzie. Stąd to wahanie między środkami gwałtownymi i łagodnymi. Tem niech Pan sobie tłumaczy Kalisz, który wobec tego, cośmy w Polsce spotkali, był zupełnie niepotrzebny. Znaleźliśmy bowiem jakieś miękkie ciało, przez które gdy przechodzimy, to na spodniach zostają tylko tłuste plamy”.

To cyniczne określenie sztabowca pruskiego stało mi w pamięci przez cały czas wojny, gdy z niepokojem w duszy przyglądałem się temu, jak Polacy na zjawiska wojenne reagują, jak śmieszni muszą być w oczach tych, którzy znają prawo wojny — ze swoją bezradnością sądów, ze swoim pokornym przystosowywaniem się do każdego żądania i każdego wymagania. Nigdy nie było jednak dla mnie wątpliwości, gdy na to patrzałem, że gdzieś na dnie serc, gdzieś w ukrytych załomach duszy było uczucie głębokiego upokorzenia i jakiś stłumiony bunt przeciwko bezlitosnemu wdeptywaniu nas w błoto coraz to innym butem żołnierskim.

Legjoniści byli w tych czasach wyrazicielami tego buntu i to wyrazicielami jawnymi, walczącymi publicznie o szacunek dla tego, co polskie nosi imię. Nie chcę mówić o mojej walce, która, rozgrywana na terenie wyższych sztabów i wyższych dowództw, nie mogła być ani jawną, ani publiczną i wpływu bezpośredniego na ludzi wskutek tego wywierać nie mogła. Na oczach natomiast wszystkich szli legjoniści naprzód, przepychając się nieledwie łokciami, szli każdego dnia — wbrew ogólnemu codziennemu upokarzeniu się — na awantury, na małe, ale liczne utarczki z obcą zaborczą ręką w obronie swoich godności jako żołnierzy polskich.

Ileż takich drobnych scen staje się w pamięci, gdy o tem mówię. Ileż śmiesznych, komicznych epizodów tej walki przeżyć musiał! Nie ledwie każdy legionista w tych czasach, gdy nosił mundur, świadczący o tem, że jest Polakiem i pod polskimi godłami i znakami chce służyć.

(Z przemówienia w Lublinie 1924 r.)

Żołnierze!

Rok temu z garścią małą ludzi źle wyposażonych, rozpocząłem wojnę. Cały świat stanął wtedy do boju. Nie chciałem pozwolić, aby w czasie, gdy na żywym ciele naszej Ojczyzny miano wyrąbywać mieczami nowe granice państw i narodów, samych tylko Polaków przy tem brakowało. Nie chciałem dopuścić, by na szalach losów, wających się nad naszemi głowami, na szalach, na które miecze rzucono, zabrakło polskiej szabli.

Że szabla nasza była małą, że nie była godną wielkiego 20-miljonowego narodu, nie nasza w tem wina. Nie stał za nami naród, nie mający odwagi spojrzeć olbrzymim wypadkom w oczy i oczekujący w biernej „neutralności” jakiejś dla siebie od kogoś „gwarancji”.

Żołnierze! Poszliście za moim rozkazem bez wahania, bez chwili namysłu, czy los Wasz nie będzie podobnym do losu tylu poprzedzających nas pokoleń żołnierzy polskich. Poszliście, by stanąć w obronie, jeśli już nie szczęścia Ojczyzny, to przynajmniej jej honoru.

Rok minął. Wyrobił się z nas ten typ żołnierza, jakiego nie znała dotąd Polska. Nie brawura, nie błyskotka żołnierska stanowi najistotniejszą naszą cechę, lecz ten przedziwny spokój i równowaga w pracy bez względu na przeciwności, jakie nas spotykają. Z młodego chłopaka w naszej atmosferze wyrabia się szybko spokojny, równy, stary żołnierz, przygotowany na długą i żmudną pracę, nie spalający się jak słoma w pierwszym, drobnym ogniu.

Żołnierze i towarzysze broni! Rok ciężkiej pracy minął! Pracy tak ciężkiej, tylu obstawionej przeszkodami, że gdy obejrzymy się na nią, dziw bierze, że istniejemy, że dawno już rodzime bory nie szemrzą po nas swej pieśni żałobnej, po nas, po polskich żołnierzach z wielkiej wojny 1914—1915 roku.

I teraz po roku wojny, jak w początku, jesteśmy tylko awangardą wojenną Polski, a także Jej awangardą moralną z umiejętnością zaryzykowania wszystkiego, gdy ryzyko jest konieczne.

Żołnierze! Dziś po roku wojny i pracy smutno mi, że powinszować olbrzymich tryumfów Wam nie mogę, lecz dumny jestem, że dzisiaj z większym spokojem, niż rok temu, mogę do Was jak ongi zawołać: „Chłopcy! Naprzód! Na śmierć, czy na życie, na zwycięstwo, czy na klęskę — idźcie czynem wojennym budzić Polskę do zmartwychwstania! Ożarów, pod Lubartowem, 5. sierpnia 1915 r.

J. Piłsudski.



Komendant z mjr. Fleszarem na odcinku 7 p. p. na „Polskiej Górze”

Żołnierze!

Dwa lata minęły od pamiętnej naszemu sercu daty — 6 sierpnia 1914 roku, gdy na ziemi polskiej dźwignęliśmy naszemi rękami zapomniany dawno sztandar wojska polskiego, w obronie Ojczyzny stającego do boju. Gdym na czele Waszem szedł w pole, zdawałem jasno sprawę z ogromnych przeszkód, które nam na drodze stają. Gdym wyprowadził Was z murów nieufnego w Wasze siły Krakowa, gdym wchodził z Wami do miast i miasteczek Królestwa, widziałem zawsze przed sobą widmo upiorne, powstające z grobów ojców i dziadów — widmo żołnierza bez Ojczyzny.

Czy takimi zostaniemy w historii, czy po nas pozostawimy jedynie „krótki płacz kobiecy i długie nocne rodaków rozmowy”

pokaże przyszłość. My obecnie, stojąc w boju, mamy do obrony skarb, któryśmy bezsprzecznie zdobyli. W ciężkich walkach, krwawymi ofiarami żołnierze wszystkich brygad wyrwali nienawistnym losom to, czegośmy nie mieli jeszcze wychodząc na wojnę — honor żołnierza polskiego, którego bitność i wewnętrzna dyscyplina nie podlega już nigdzie żadnej wątpliwości.

Dopóki stoję na Waszem czele, będę bronił do upadłego, nie cofając się przed żadną ofiarą tego co jest naszą własnością i co oddać musimy w całości nienaruszonej naszym następcom — naszego honoru żołnierza polskiego, Tego też od Was, żołnierze z całą surowością wymaga. Czy w ogniu na polu bitwy, czy w obcowaniu z otoczeniem, oficer i żołnierz ma się zachowywać tak, by w niczem nie narazić honoru munduru, który nosi, honoru sztandaru, który nas skupia. Ofiare krwawe, czy bezkrwawe, gdy trzeba, muszą być w tym celu złożone. Dwa lata minęły! Losy Ojczyzny naszej ważą się jeszcze! Niech mi wolno będzie Wam i sobie życzyć, by rozkaz mój następny w naszą rocznicę był odczytany wolnemu polskiemu żołnierzowi na wolnej polskiej ziemi.

Rozkaz ten odczytać w kompanjach, szwadronach, baterjach i zakładach oddziału.

Kolonja Dubniak, 6. sierpnia 1916.

J. Pilsudski.



Wśród swoich żołnierzów na froncie

Latem 1917 r. zostałem aresztowany w Warszawie przez władze okupacyjne niemieckie i wywieziony w głąb Niemiec. Przez pewien czas przewożono mnie z więzienia do więzienia, nieraz trzymając w najgorszych warunkach, by wreszcie, po kilku tygodniach, osadzić w twierdzy magdeburskiej, gdzie po roku i kilku miesiącach doczeka-



Komendant Pilsudski w otoczeniu Oficerów P. O. W. przed uwięzieniem w 1917 r.

łem się powstania Państwa Polskiego. W Magdeburgu, ku wielkiemu memu zdziwieniu, wywyższono mnie nagle do wysokiej rangi generała i trzymano, że tak powiem, z odpowiednim dla takiej szarży szacunkiem. Miejscem mego pobytu była cytadela dawnej, starej fortecy magdeburskiej, a właściwie jeden z jej zakątków — zabudowanie, które, jak się o tem mogłem przekonać z tablic, zawierających przepisy zachowania się w celach, nosiło zabawną nazwę: „Sommerofficiersarreststube”. Miało to najoczywiściej oznaczać, że w tem zabudowaniu odsiadawali swoją karę aresztu za te, czy inne, przewinienia oficerowie garnizonu magdeburskiego, lecz zarazem nazwa ta wskazywała, że zabu-

dowanie to nie jest przeznaczone dla takiego użytku w zimie. Przetrzymano mnie tam wprawdzie przez cały czas zimy z 1917 na 1918, lecz nie mam zresztą z tego powodu do Niemców specjalnych pretensyj. Bywało i zimno, lecz nie mogę powiedzieć, aby się nie starano, nieraz i bardzo gorliwie, o usunięcie tych braków. Przypuszczam, że wybrano dla mnie to miejsce dlatego, że w niem najłatwiej można było wykonać surowe nakazy zgóry: zupełnego izolowania mnie od całego świata. Mieszkalem zresztą wcale wygodnie. Do rozporządzenia miałem na I-em piętrze trzy cele: pokój sypialny, coś w rodzaju pokoju, w którym mogłem kogoś przyjąć, a co w mojej sytuacji mogło mnie tylko do śmiechu pobudzać, i trzeci — pokój jadalny. Wszystkie 3 cele, dzień cały otwarte, wychodziły na ogródek, w którym było kilka drzew owocowych i trochę niewielkich krzewów czy roślin. Za ogródkiem był wielki wał ziemny dawnej fortecy, porosły murawą, wyższy znacznie od domu. Na dole, w parterowych celach mieszkali podoficerowie, przeznaczeni do pilnowania mnie, i ordynansi, których systematycznie co pewien czas mi zmieniano. W ogrodzie stał żołnierz uzbrojony, jako stała warta. Cały ogród był oddzielony od reszty świata, czyli od ogromnego podwórza cytadeli, wysokim szczelnym parkanem, zbitym z desek. Do świata zewnętrznego prowadziła furtka, za którą stał inny posterunek, wydzielony z fortecznego odwachu.

Jakby dla pocieszenia mnie i uhonorowania, powiedziano mi odrazu że w tym właśnie gmachu przeleżał i przesiedział przez dłuższy czas generał belgijski, dowódca twierdzy Liège, ranny przy jej obronie.

Narazie wolno mi było spacerować w ogrodzie przez trzy godziny dziennie, potem przestano mnie w tem krępować i miałem prawie cały dzień do zmierzchu otwarte drzwi z górnego piętra do ogrodu. W tych warunkach przesiedziałem rok cały zupełnie samotny i dopiero w połowie sierpnia 1918 r. przybył jako towarzysz niedoli więziennej — gen. Sosnkowski, z którym pozostałem aż do zwolnienia mnie w listopadzie 1918 r.

Do życia więziennego, jak mi się zdaje, byłem urodzony. Bardzo łatwo znoszę samotność, nie odczuwając, jak inni, całego jej ciężaru i umiając łagodzić pracą myślową najcięższą stronę życia więziennego — tęsknotę. Niema bowiem wątpliwości, że każdego więźnia przytłaczać musi tęsknota do wolności, do swobody ruchów, do takiego stanu, gdzie niema tylu zakazów, ograniczeń, skazujących człowieka na monotoność długiego szeregu dni, spędzanych zawsze jednakowo, zawsze w tych samych warunkach. Dla ludzi tak skrupulatnie izolowanych,

jak ja byłem odcięty od świata w Magdeburgu, życie staje się ciężarem prawie nie do zniesienia. Dla mnie musiało to być tem cięższem, że wyrwany zostałem z życia tak pełnego zmian i tak bogatego codzień w inne wrażenia. Żyłem życiem wojennem, w którym nerwy ludzkie przyzwyczajają się do wiecznego ruchu, do codziennej a koniecznej zmiany zajęcia, do koniecznej a codziennej przemiany samego siebie w coraz to nowy instrument walki, który pracuje coraz to innym wysiłkiem woli, nerwów, umysłu czy serca. Cisza więc więzienna i niezwykła, bo niemiecka, monotonia dni była doskonałym gruntem dla żrącej nieraz tęsknoty do barwnej i pełnej ruchu wstęgi życia wojennego. Zupełna izolacja przytem nie dozwoliła mi nawet wiedzieć, co się stało, lub co się dzieje z kolegami i przyjaciółmi, z którymi się zbierało w ciężkiej i twardej, lecz tak niezwykle uroczej i tak bratersko przeżytej pracy wojennej, odbytej w mojej pierwszej brygadzie legjonowej. Nieraz też w długich, samotnych przechadzkach po ogródku wyrastały mi, jak żywe, kwiaty wspomnienia o niedawnych przeżyciach. Cisnęły i ludziły one, jak fantomy oaz na pustyni, gdy podsuwały mi pod oczy mile twarze przyjaciół, gdy w uszach słyszałem nieledwie ich śmiechy obok huku armat i grzechotu karabinów, grających swą muzykę wojenną.

Dla zżarcia trawiącej mnie tęsknoty zmuszałem siebie do analizy swego postępowania, jako dowódcy. Bawiłem się w krytykę, czyto siebie, czyto swych podwładnych, by oczy przestały widzieć, uszy słyszeć, serce bić mocniej, by móc te prawie zmysłowe wrażenia zamknąć w rozmyślania analityczne. Długo, długo pracowałem myślą jedynie. Wtedy zacząłem odczuwać, jak nieraz w poprzednich już moich więziennych przeżyciach, że zaczynam żyć jakimś nierealnym życiem, jakąś pracą głowy jedynie, tak, zamierać zaczyna normalna praca organizmu. Zdecydowałem się zerwać z tem i, zrobiwszy dla próby gimnastykę woli przez zaniechanie na dwa tygodnie palenia, przyszedłem do przekonania, że najprostszym sposobem pozbycia się ciężaru tęsknoty jest próba rzucenia wspomnień na papier. Mieć pióro w ręku i jego mechaniczną pracą związać siebie ściślej z życiem, chociaż tak ubogiem we wrażenia, lecz jednakże realnem!

I wtedy przyszły mi na myśl moje niegdyś, z czasów przedwojennych, dziesięcioletnie studia nad zjawiskiem wojny w świecie. Dziesięć lat wżerałem się w istotę pracy dowodzenia, w żywiole — jak mówi Clausewitz — niebezpieczeństwa, w żywiole niepewności, w żywiole, wreszcie — jak ja określam — wiecznych sprzeczności nie do rozwikła-

nia, rozcinanych jak gordyjski węzeł, mieczem decyzji, mieczem rozkazu. Pamiętam, gdym szedł na wojnę w sierpniu 1914 r., postanowiłem sobie bacznie obserwować zjawiska wojny, bacznie analizować samego siebie, by sobie samemu rozwiązać mnóstwo wątpliwości, odpowiedzieć na mnóstwo pytań, pozostałych w duszy i w głowie z okresu studjów nad książkami. Teraz w Magdeburgu zdecydowałem się spróbować, czy pójdzie mi łatwo ziszczenie dawnych marzeń, bym mógł szczerze i spokojnie zilustrować sobą samym prawdę o istocie dowodzenia, prawdę o duszy dowódcy, uginającej się pod ciężarem niebezpieczeństw, niepewności i sprzeczności. Walczy z niemi, bo są one żywiołem wojny, każdy żołnierz. Dowódca niesie prócz tego ciężar odpowiedzialności za swych podwładnych, a na policzku swoim czuć musi piekący wstyd upokorzenia, gdy mu praca dowodzenia się nie uda, a za niepowodzenie krwią płacą inni. „Śmieszne ongiś marzenia — mówiłem sobie — możesz teraz w więzieniu urzeczywistnić, gdy przezwycięzysz lenistwo do pióra“.

Taką była geneza leżących przed czytelnikiem wspomnień moich z pracy dowodzenia w r. 1914. Zdecydowałem wtedy odrazu, że wybiorę dla opisu trzy najciężej przeze mnie przeżyte prace w I-ej brygadzie. Momenty, w których ja, szafujący niezwykle ostrożnie krwią podwładnych, unikający nieraz rozmyślnie pracy dla sławy, by nie płacić za nią za drogo, umiałem, czy musiałem zaryzykować całym nieledwie przeze mnie dowodzonym oddziałem, stawiając na kartę i siebie, jako dowódcę. Najcięższe moje prace dowodzenia: Uliną Małą, Marcinkowice i Kostiuchnowka. Zdołałem skończyć tylko Ulinę Małą i Marcinkowice. Byłem tak zmęczony i przeżyciem i pracą, w której bezwiednie obok prostego opisu oddawałem tęsknotę do wszystkiego, co jest Polską: do drogi błotnistej, do wsi zapadłej, do ludzi, krajobrazu i drogich mi kolegów, że zdecydowałem nie próbować narazie najcięższych wspomnień o najcięższej bitwie, o bitwie wśród borów i błot Polesia wołyńskiego. Lecz pióro się rozpędziło. Wspomnienia swawolne pobiegły w inną, miłszą nieco stronę, w stronę przeżyć pierwszych prawie wrażeń wojny, pierwszych, jeszcze nieśmiałych wobec siebie samego prób dowodzenia, gdy rozmach szeroki myśli zwalczany był usilnie przez nieśmiałość i niepewność siebie. Tam bitwy niekrwawe z kawalerją rosyjską dawały pierwsze wrażenia muzyki bojowej, pierwsze wrażenia wczucia się w żywy teren, obok pierwszych prób śmiałego manewru z grą trzema rodzimymi rzekami: Wisłą, Nidą i Dunajcem. Wobec tego zacząłem

opisywać swoje tańce obok tych rzek we wrześniu 1914 pod tytułem: „Nowy Korczyn-Opatowiec“.

Pracę, prawie do końca już doprowadzoną, przerwało przybycie do magdeburskiej twierdzy gen. Sosnkowskiego. Odtąd tęsknota stała się głębszą, a pióro zostało w kąt rzucone dla nieskończonych rozmów i wiecznych szachów. Ustępy o Nowym Korczynie i Opatowcu nie zostały zakończone.

W ten sposób moje zamiary uprzednie nie urzeczywistniły się. I dlatego musiałem włożyć trochę pracy, aby teraz do druku oddać rzeczy bardziej skończone. Zmiany, które wprowadziłem, są bardzo niewielkie. Konieczność ich wynikała stąd, że musiałem pracować w Magdeburgu w specjalnych warunkach, narzuconych mi przez więzienie. Po pierwsze więc nigdy nie mogłem być pewny, czy wszystko, co z pod pióra mego wyjdzie, nie będzie mi w jakiejś chwili odebrane, może na zawsze. Z tego powodu, przyzwyczajony zamłodu do przemysłowości więzienia, postanowiłem oszukać swych aniołów stróżów. Zapowiedziałem więc, że chcę wnieść skargę, zarówno na moje aresztowanie, jak i na trzymanie mnie, wbrew prawu pruskiemu, w zupełnej izolacji. O tych przepisach prawnych dowiedziałem się zupełnie wypadkowo od starego generała niemieckiego, dowódcy w Weslu, gdzie przewieziono mnie ze Spandau pod Berlinem. Oświadczył on mi z całą otwartością, że zaprotestował stanowczo przeciwko temu, aby w twierdzy, którą on dowodzi, postępowano z którymkolwiek z więźniów wbrew prawu pruskiemu, zabraniającemu, według niego, trzymać kogokolwiek w odosobnieniu i samotności, prócz tych, którzy albo znajdują się pod śledztwem, albo sądownie na karę odosobnienia zostali skazani. Przypomniawszy sobie więc w Magdeburgu oburzenie generała z Wesla, zażądałem dla wpisania swej skargi większej ilości papieru, gdyż nie znając dobrze niemieckiego języka, zniszczę z pewnością conajmniej kilkanaście conceptów polskich, nim je przystosuję do obcej, nieznanej mi dokładnie mowy. W ten sposób zdobyłem sobie wszystkie przybory do pisania, oraz stworzyłem pozór, dlaczego przesiaduję przy stole z piórem w ręku. Cały ten przemysłny wybieg odbił się jednak bardzo wyraźnie na sposobie mego ówczesnego pisania. Nad całą moją pracą literacką w Magdeburgu ciąży jako mus oszczędność papieru. Nietylko wszystkie kartki są zapisane niezwykle drobnem, trudno czytelnem pismem, lecz i sam styl ma na sobie piętno owej oszczędności. Dlatego też przy oddawaniu do druku musiałem wprowadzić, drobne zresztą, poprawki, obawiając się, że skróty mego myślenia nie będą dostatecznie

zrozumiane przez czytelników. Wreszcie, musiałem dokończyć opisu przeżyć moich z okresu pierwszych bojów pod Nowym Korczynem i Opatowem.

Dla uzupełnienia historii rękopisu dodam, że pisałem go bez żadnej myśli o wydaniu kiedykolwiek. Wydawało mi się bowiem rzeczą nieprawdopodobną, aby uniknął on zwykłego losu wszystkich notatek więźniów, losu, mówiącego, że bardziej należą one do tych, co więźnia więżą, niż do niego samego. Istotnie przez dłuższy czas nie znajdowały



Przybycie do Warszawy 12 grudnia 1916 r.

się one w moich rękach i zawdzięczam zwrot rękopisu, jak i wielu rzeczy moich, pozostałych w Magdeburgu, skrupulatności rządu niemieckiego, który zwrócił mi je wtedy, gdy już byłem w Belwederze. Wywieziono bowiem mnie i generała Sosnkowskiego z Magdeburga w tak nagły i niezwykły sposób, że o zebraniu wszystkich rzeczy mowy nawet nie było.

Pewnego dnia w początkach listopada 1918 r. zjawili się dwaj oficerowie niemieccy, ubrani już po cywilnemu. Oświadczyli nam, że jesteśmy wolni i że mamy natychmiast wyjechać do Berlina, skąd o 6-ej wieczorem tegoż dnia odjeżdżamy pociągiem, odchodzącym do Warszawy. Gdy, zdziwieni, oglądaliśmy cywilny ubiór oficerów, powiedzieli nam oni z zażenowaniem, że rewolucja wybuchła w Magdeburgu i że wyjedziemy autami, nie jako wojskowi, ale jako zwykli śmiertelnicy. Przepraszając, prosili nas bardzo, byśmy nie zabierali żadnych swoich rzeczy z sobą, gdyż obawiają się, że może to zwrócić uwagę manifestantów, chodzących po ulicach. Nie wiem, co bym był wówczas postanowił, gdyby w tem oświadczeniu oficerów nie było obietnicy, że już o 6-tej wieczorem będę siedział w pociągu, wiozącym mnie do Warszawy. Pod wpływem tej nadziei, zdecydowaliśmy się z Sosnkowskim szybko. On wziął mały neceserek, ja wyszedłem z twierdzy magdeburskiej, zwinąwszy w papier najkonieczniejsze tylko przybory toaletowe. Wyznam, że wtedy nie myślałem wcale o rękopisie, ani o jakichkolwiek rzeczach, które pozostawiałem w „Sommeroffiziers-arreststube”.

Gdyśmy po przejściu, niby spacerkiem, niedaleko mostu na Elbie przystanęli, zajęchały dwa auta, które za chwilę w szybkim pędzie unosiły nas ze zrewoltowanego miasta.

Rękopis otrzymałem względnie bardzo niedawno do swoich rąk, gdyż przy zwrocie rzeczy magdeburskich został on, widocznie przez omyłkę, odesłany gen. Sosnkowskiemu, wraz z jego papierami i rzeczami. I teraz dopiero odnowiłem swoje wspomnienia magdeburskie, przeglądając swoją więzienną próbę zilustrowania samym sobą pracy dowodzenia na wojnie.

(„Moje pierwsze boje” — przedmowa, 1925 r.)

Przybyłem do Polski wprost z więzienia. Magdeburg bowiem był więzieniem i przybyłem po to, ażeby przy pierwszym rozkwicie życia nowej Polski wejść na najwyższy szczybel reprezentowania jej, jako świeży wypuszczony z więzienia człowiek. To prawda niechybna. Ta prawda prosta powinna być ujęta nie w sposób naciągania takimi czy innymi słowami nadzwyczajnymi, gdyż prostota tej prawdy historycznej, gdy się mówi o Polsce, ojców i praojców, jest sama za sobą mówiąca i nie potrzebuje zanadto wielkich frazesów. Gdy zastanawiałem się nad

tem, jak mam traktować przedmiot, który wybrałem sobie: psychologię więźnia — zatrzymywałem się na najrozmaitszych sposobach. Odrzuciłem je prawie wszystkie, z wyjątkiem jednego, który dla mnie był najłatwiejszym. Nie mam zdolności do badania czegoś t. zw. naukową metodą, jedynym przedmiotem, który badałem metodą naukową, jest praca wojenna. Wszystko inne przebiegałem inną metodą. Naukową metodą badać więzienie i psychologię człowieka, zamkniętego w więzieniu, jest to ująć w ramy statystyki zdrowie, zniszczone przez więzienie, statystykę obłąkań, wywołanych przez więzienie, statystykę śmierci przedwczesnej więźniów, skracających sobie życie, statystykę kubicznych metrów powietrza, tej pary zgniłej i wilgotnej, którą od-



Powitanie na dworcu w Warszawie przez młodzież akademicką w 1916 r.

dychać nieraz trzeba. Wszystkie te fakty i falciki dzielić, mnożyć i odejmować na najrozmaitszy sposób, przerabiać na sposób znaków algebraicznych i ścisnąć, tak bym mógł te rzeczy oddać w krótkim odczycie — jest dla mnie absolutnie niemożliwe. Nie potrafiłbym w taki sposób badać swego własnego życia. Dlatego też po odrzuceniu tego sposobu zdecydowałem się na sposób najprostszy, choć może najbardziej egoistyczny. Jestem więźniem, który nie przez jedno więzienie przechodził. A wobec tego, że statystykę wspomniałem, to jeżeli wszystkie więzienia i lata więzień policzyć i podzielić przez całą ludność polską, to jednak na jedną moją osobę przypadłoby trochę więcej, niż przeciętnie na niejedną głowę, jeżeliby policzyć ilość ludności polskiej. Dlatego, że byłem niezwykle szczęśliwym w życiu, to i pod tym

względem szczęście mi służyło. Albowiem ilość więzień, które przeżyłem w życiu jest już znacznie wyższa niż ilość więzień, która przypada na każdego przy podziale przez liczbę ludności polskiej. Dlatego też spokojnie i pewnym prawem i poczuciem moralnym, powiedziałem, że gdy będę mówił o psychologii więźnia, to będę mówił więcej o sobie niż o innych. Albowiem przeżyłem przez wielką ilość więzień i nie jeden rok straciłem nie na co innego, jak na więzienne życie. A wobec tego, iż podstawą więzienia, baza więzienia materialna jest jednakowa dla każdego człowieka, nie przypuszczam, bym daleko odbiegł, mówiąc o psychologii tego więźnia, którą sobie przypominam, jako od zasadniczej rzeczy istniejącej dla każdego więźnia.

(Z odczytu w Wilnie „Psychologja więźnia” 1925 r.)

le razy w więzieniu siedziałem, mając dużo wolnego czasu na zastanawianie się, starałem się w ten sposób ułatwić sobie życie więzienne: mówiłem sobie, że moje więzienie jest równie dobre, jak i więzienie poza temi murami, przez które ludzie życiowo przechodzą. Człowiek, który swej pracy biurowej nie lubi, ma nieznośne uczucie, gdy idzie do pracy biurowej codziennie jednej i tej samej, codziennie idzie do tej samej ulicy, jest krępowany w wyborze, musi dojść do pewnego miejsca, do którego nie lubi chodzić, usiąść przy tym samym biurku, wziąć ten sam przeklęty papier do ręki, przepisywać czy pisać, oglądać te same mury, wiecznie te same, chociaż niezakratowane okna, by potem znudzony i zmęczony życiem powracać do siebie, do domu temi samymi ulicami, bo jeść mu się chce. Gdy sobie tak przesadnie wymalowałem więzienie, tego człowieka — robiłem to umyślnie, ażeby uprzyjemnić swój pobyt, ażeby uświadomić to sobie — w przeciwstawieniu do ludzi, którzy mogą chodzić swobodnie po ulicach. To może daje odczuć tę psychologję ogólną człowieka, który wbrew swojej woli, wbrew swojej chęci, wbrew wszystkiemu temu, co jest jego istotą, ma zamkniętą przestrzeń dla swobodnego ruchu, i nie znosi tego dlatego, że jest mu to przykre.

Co do mnie zawsze się śmiałem, że jestem urodzony na więźnia, bo mnie łatwo przychodziło stworzenie sobie czaru życia. Mogłem z duszy swojej wysnuć najniemożliwsze bajki i myśli, jedynie dlatego, że dusza łatwo pod tym względem pracowała. Nie przywiązałem się do żadnej materialnej rzeczy. A jednak, gdy siebie w różnych więzieniach prze-

śledzę, znajdę jedno, co było dla mnie nadzwyczaj przyjemnem. Było mi mianowicie przyjemnem, że jeżeli mogłem cokolwiek w celi więziennej przerzucić i poruszyć. Ale w wielu więzieniach nic się poruszyć nie da, bo wszystko jest przytwierdzone i na moc przyśrubowane i nic nie da się poruszyć.

Dlatego między innemi, gdy siedziałem w X pawilonie w Warszawie, czuję rozrzucającą przyjemność wspominając o nim. W innych więzieniach człowiek nie miał nic dla siebie. Tu wszystko to należało do kogoś, kto miał prawo tem poruszać. Świetny nr. 39 cytadeli warszawskiej w X pawilonie, gdy mnie do niego przyprowadzono, wydał mi się pięknym zjawiskiem, tak, jak numer hotelu, bardzo kiepskiego co prawda, ale hotelu w którym leży moja walizka, w której mogę przebierać swe rzeczy, które mogę w ten lub inny kąt postawić lub przerzucać, mogę stół kopnąć nogą i odsunąć, a on się usunie i mnie słucha. Jeżeli w ten sposób przedstawiam życie więzienne, to nie sądzę, by to nie stanowiło przyjemności. Mogłem walczyć z warunkami więzienia, miałem szybką i żywą fantazję i umiałem sobie stworzyć życie, życie myśli, życie marzeń, życie rojeń, życie w którym swobodniej szalałem, niż można szaleć w codziennem życiu, gdzie jest tylu oczu podglądających człowieka z podejrzeniem. Niema żadnej żenady, gdy się zupełnie neglizuje tego pana patrzącego na mnie. Wtedy tworzyłem wszystko co mnie się żywnie podobało, bo czasu było dosyć.

Ja zawsze badałem w każdym więzieniu największego przedstawiciela fauny — człowieka. Wszystkich dozorców, każde drgnięcie muskułów, każdą zmianę, łapałem natychmiast, szukałem człowieka i zgodnie z moim charakterem człowieka walczącego, człowieka, który przed walką nigdy się nie cofa, — szukałem nieprzyjaciela, by go zbadać i zrozumieć. Ileż rozkosznych minut spędziłem w cytadeli warszawskiej, która jest tak głupio akustycznie urządzona, że więzień słyszy w celi więziennej, co się mówi na korytarzu, tak, jakby z rozmysłem robione były cele na to, aby badać dozorców a nie więźniów. Spędzałem godziny, podśluchując, jak dozorczy ze sobą rozmawiają i badając ich psychikę. Obserwacja ograniczona, lecz tembardziej zaostrzona. Nie wiem czy ktokolwiek z więźniów potwierdzi moje słowa, że najbardziej wydelekacyony słuch mają więźniowie siedzący w więzieniu. Szmer chwytają najdrobniejszy, szukają „części życia“, zmieniają się w nieledwie w myszki, które są tak czułe na każdy szmer.

Gdy siedziałem w więzieniach w Rosji widziałem dbałość o to, aby więzienie zrodziło strach. Jest to rozum kryminału, który robi „chęć

poprawienia się więźnia“ za pomocą strachu. Na tem rozum kryminalistyczny polega. Poprawić zapomocą zadania postrachu tak, jak się poprawia niegrzeczne dzieci, zadając im przykrość. Więzienia rosyjskie miały coś w sobie z poczucia prawa w stosunku do więźnia. Nie działało tu już czystym gwałtem i przemocą, ale nieledwie naukowem poszukiwaniem boleści i przykrości dla więźnia, konsekwentnym robieniem mu strachu, robieniem go innym, niż wszyscy. Polskie więzienia pod zaborem rosyjskim było całkiem inne. W Polsce wyobrazicielem tych więzień jest cytadela, X pawilon. Ci, którzy zamykali do tych więzień nie dbali o nic. Wyraźnie siedł tu gwałt i przemoc, które nie szukały uprawnienia w jakimkolwiek „moralny“ sposób. Wszystkich szkodliwych zamykano w więzieniu. To też tak wesołego więzienia jak X pawilon na świecie nie widziałem. Wszystko prawe jest dopuszczalne, to co gdzieindziej jest najsurowiej zakazane bez względu na to, że każde pokolenie w murach rozkopuje tunele, które najspokojniej naprawiają, by następne pokolenie te tunele znów świdrowało. Tak jakby to było pewną formalnością, że właściwie tuneli robić nie wolno ale niech ich diabli, niech sobie robią tunele więzienne. Więzienie, w którym wszystko poruszyć wolno, przerzucać stale z miejsca na miejsce, łóżko przeciągać, takiego więzienia — hotelu nie widziałem. W tej izolacji, do której człowieka chcą doprowadzić, jest przepych siły brutalnej idącej na człowieka, jak przemoc zwyczajna, która się niczem nie krępuje. Pamiętam moje olbrzymie zdziwienie gdy, wyprowadony na spacer spostrzegłem w ogrodzie namioty żołnierskie rozbite w ogrodzie. Parę drzewek owocowych, z których ci żołnierze kamieniami zbijają gruszki. Rzecz nie do pomyślenia w żadnym rosyjskim więzieniu, gdzie prawo kroczyło z poczuciem własnej wartości. Podobne rzeczy widziałem w Syberji, gdy już klamka zapadła i idzie się na karę, gdzie niema żadnych badań, gdzie kryminalista jest skończonym kryminalistą. Bardziej swobodniej, niż w dawnych więzieniach polskich za czasów dawnych rosyjskich być zdaniem mojem nie mogło. Dlatego bodaj w cytadeli za czasów przynajmniej mego pokolenia ludzie najmniej się męczyli, najswobodniej się czuli. Czuli się więcej panami więzienia, niż to było gdzieindziej. Jest to rodzaj współpanowania nad więzieniem z tymi, którzy przemocą trzymają. Ta specjalna charakterystyka rzucała mi się niesłychanie w oczy. Dlatego też z pewnym niepokojem jechałem zawsze do jednego kraju, do więzienia, którego nie znałem, to znaczy do Niemiec. Niemców sobie zawsze wyobrażałem, tak, jak polacy sobie wyobrażają. „Tam dopiero jest porządek!“ Ale niema nic gor-

szego dla więźnia, jak porządek więzienny, bo on chce zawsze ten porządek naruszyć. Byłem w tem więzieniu nadto w wyjątkowych warunkach. Do mnie nie chciano stosować wszystkich przepisów więziennych. Trzymano mnie jako „wyjątkową osobę“ twierdzy magdeburgskiej w zupełnej izolacji, dając mi za to wiele wygód i wielką swobodę więzienną. Trzymano mnie jako generała, dano mi trzy pokoiki, ogródek do rozporządzenia, ordynsów itp. Miałem zatem najswobodniejsze



więzienne życie, o jakim można było marzyć. Tak pięknie nie trzymają mnie nigdy w Rosji. Lecz przedtem przewieziono mnie przez 4 więzienia wcale niegeneralskie. Przypatrywałem się więc temu, jak to jest u Niemców. Jest tam brutalne obójście, nakazane, musowe, dlatego by utrzymać porządek i karność, lecz pozatem chęci męczenia człowieka, chęci zadawania mu strachu, chęci robienia mu jakichkolwiek specjalnych przykrości nigdy nie spostrzegłem. Trzeba się trzymać przepisów,

wywieszonych na ścianie, czego w Rosji nigdy nie było. Tak, że z chwilą, gdy się przeczytało te przepisy na ścianie — każdy w Niemczech umie czytać — to się wiedziało, czego się trzymać. Każdy tam „urzęduje“. Urzęduje dozorca, urzęduje i więzień, siedzący w więzieniu. Każdy zobowiązany jest spełniać przepisy. Byłem specjalnie zdumiony, gdy siedziałem w Spandawie pod Berlinem. O więzieniu w Spandawie wiedziałem, że Mierosławski w 48 roku tam siedział. Wtedy prawdopodobnie było zupełnie inaczej. Podczas mojego tam pobytu życie więzienne wrzało poprostu i słyszeć je było na każdym kroku. Każdy miał inne zajęcie, każdy inaczej pracował. Wszystko chodziło, biegało, rozmawiało, nie było tam, poza samą karą, żadnej chęci robienia więźniom jakiegokolwiek przykrości. Magdeburg był więzieniem specjalnem, w którym więcej szło o izolowanie człowieka, dlatego, że jest niebezpieczny, niż o jakiegokolwiek inne więzienne warunki. Miałem ordynansa, miałem podoficerów, którzy byli moimi stróżami więziennymi, miałem 3 pokoje, miałem ogród, po którym mogłem chodzić. Tylko wieczorem o godz. 10-tej światło musiało być zgaszone, albowiem w całym więzieniu o 10 wieczorem gasi się lampy. Nie było żadnej w tem różnicy dla generała, porucznika czy żołnierza. Poza takimi drobnymi przepisami jednak było tak życie najswobodniejsze ze wszystkich tych, jakie kiedykolwiek miałem w więzieniu.

* * *

Byłem ongiś namiętym szachistą, lubiłem szachy szalenie, ale szachy trzeba grać z kimkolwiek. Próbowałem urządzić sobie szachownicę maleńką i pamiętam jak w Petropawłowskiej fortecy, nie mając żadnych instrumentów do tego, urządziłem jednak sobie szachownicę na książce, która w każdej celi tam leżała, t. j. na Biblii. Za pomocą zapalek, gdyż zapalki miałem w ręku, bo szczęśliwie pozwolono mi palić, robiłem czarne pólka, szachy lepiłem tak niezgrabnymi rękami, że wstydę się komukolwiek pokazać moją wieżę i mojego nieszczęsnego lafra. Chowałem to tak sprytnie i umiejętnie, przed codzienną rewizją, która się odbywa w celi, by jak najdłużej zachować ten skarb oszukańczy, które zrobiłem w stosunku do bezlitosnych katów, teraz śmiech mi zbiera, gdy przypomnę, jak urządziłem to życie więzienne.

(Z odczytu w Wilnie „Psychologja więźnia“ 1925 r.)

P przed wojną stałem na czele najliczniejszego odtamu tak zwanego ruchu strzeleckiego. Podstawowymi zasadami ruchu były: a) dążenie do niepodległości Ojczyzny, b) bezpartyjność organizacji, c) obietnica posłuszeństwa Rządowi Polskiemu, gdy na ziemiach polskich powstanie.

W oczekiwaniu wojny, zastanawiając się nad położeniem Polski, która stać się miała teatrem wojny, i której synowie stanąćby musieli z bronią w ręku do bratobójczej walki, przyszedłem do przekonania, że interesa mojej Ojczyzny wymagają czynnego wystąpienia po stronie mocarstw centralnych w ich wojnie z Rosją. Wobec tego, gdy mi zaproponowano, wszedłem w stosunki ze sztabem c. i k. armji austro-węgierskiej. W stosunkach tych trzymałem się następujących wytycznych, którym do końca pozostałem wierny. Po pierwsze żadnej pieniężnej zależności, po drugie żadnych umów politycznych. Pierwsze jest zupełnie zrozumiałe, była to kwestja honoru ruchu, który reprezentowałem. Drugie wynikało z podstawowych zasad ruchu strzeleckiego, który unikał brania na siebie i swoją odpowiedzialność spraw politycznych, pozostawiając to Rządowi swej Ojczyzny, umowom tego z innymi Rządami i wreszcie nakazom w stosunku do wojska, które z góry zupełnie tym nakazom posłuszeństwo ślubowało. Zadanie swoje na początku wojny uważałem jako postawienie przed narodem kwestji, na którą odpowiedź dać musieli ojcowie, nie dzieci, zebrane w wojsku.

Za zgodą więc sztabu wyprowadziłem w pole pierwsze oddziały strzeleckie w omówionym kierunku na Kielce. Oddziały strzeleckie, sformowane przezemnie, czy też przez najbliższych mych pomocników, legły jako podstawa dla późniejszych legionów.

Już w drugiej połowie sierpnia, po uformowaniu się Naczelnego Komitetu Narodowego w Krakowie, wypłynęła kwestja polityczna w postaci przysięgi i jej formuły. Nie mogę ukryć, że kwestja ta odrazu groziła ostrem przesileniem. Młodzież strzelecka odnosiła się z głęboką niechęcią do brania na siebie odpowiedzialności politycznej za całą Polskę i rostrzygania w jej imieniu zawitych spraw politycznych, związanych przysięgą. Wszyscy strzelcy przed przysięgą zarządzali odemnie rozkazu, składając na moje barki odpowiedzialność, której bardzo słusznie sami ponosić nie chcieli. Nie będę tu wchodził w motyw mego postępowania, dosyć, że tę odpowiedzialność przyjąłem i rozkaz złożenia przysięgi wydałem.

Ku wielkiemu memu zdziwieniu przysięga okazała się podwójną inną w Krakowie, gdzie były skoncentrowane oddziały, przygoto-

wujące się do wymarszu, inną w Kielcach, gdzie byłem ja z tą częścią strzelców, która zaraz po wybuchu wojny wyszła w pole. W Krakowie składano ogólna-austriacką przysięgę wojskową. My w Kielcach złożiliśmy przysięgę S. P. Cesarzowi Franciszkowi Józefowi jako Królowi Polskiemu. Dla ścisłości zaznaczę, że z Kieleckiego oddziały rozwinęły się: I Brygada piechoty, I pułk ułanów i większa część artylerji, poza tem z niego wyszła wielka ilość oficerów i podoficerów w obu innych brygadach, gdzie karjera okazała się znacznie łatwiejsza, niż w oddziałach dowodzonych przezemnie.

Nie będę się zatrzymywał na dwuletniej mojej pracy czysto wojennej, na czele oddziału (brygada piechoty, pułk ułanów i kilka baterji artylerji), który zorganizowałem i prowadziłem samodzielnie bez żadnej pomocy ze strony oficerów c. i k. armji. Sądzę bez zrozumiałości, że nie zrobiłem nigdy wstydu orężowi polskiemu, przeciwnie zyskałem dla siebie i podwładnego mi oddziału pewną dozę sławy.

Przechodzę do tarć wewnętrznych, które były stałem zjawiskiem w życiu Legionów, a które doprowadziły mnie do złożenia swej dymisji. Zatrzymać się muszę na nich dłużej, gdyż motywy moje w tym okresie były dla mnie miarodajnymi i przy pracy w Radzie Stanu i dla mojej z niej dymisji. Związane one były zawsze z dwoma dziedzinami życia wojskowego — organizacyjną i polityczną. Przyczem zaznaczam odrazu, że obie te dziedziny bardzo ściśle się przeplatały, nie dając się nigdy oddzielić. Odpowiadały one dwom głównym, podstawowym namiętnościom, które doprowadziły młodzież polską do własnowolnej ofiary ze swego życia — wybujałemu, drażliwemu w drobnostkach, nadczułowemu na dotknięcie i obrazę uczucia patriotycznemu i równie drażliwej ambicji młodego żołnierza polskiego, zdobywającego własnymi siłami uznanie dla swej wartości w ciężkiej wojnie.

Przed wojną, przygotowując się do pracy, w ciągu kilku lat przestudjowałem prawie wszystkie próby formowania wojsk ochotniczych w ostatnim stuleciu — udane i nieudane. Niestety, tych pierwszych było bardzo mało. Zmierzyłem więc ogromne trudności takiego przedsięwzięcia. Te trudności są tak olbrzymie, że, poza paru entuzjastami, teoretycy kwestji niecierpliwie i z niechęcią machają na nią ręką, jako na sprawę straconą, z góry skazaną na niepowodzenie, klęski i porażki. Wyznaję, że z trwogą przystępowałem do eksperymentu, nie byłem przecie tak młodym i łatwo zapalnym entuzjastą, jak większość moich podkomendnych i zdawałem sobie jasno sprawę z ujemnych stron nie-

odłącznych od improwizowania wojsk ochotniczych. Trudności te dadzą się sprowadzić do następujących głównych punktów:

1) Materiał rekrucki, który najczęściej musi być organizowany i uczony prawie pod kulami nieprzyjacielskimi, a w każdym razie w ciągłej możliwości zetknięcia się z nimi.



2) Zupełny brak uregulowanych przez prawo i długie lata pokojowe wewnętrznych stosunków służbowych.

3) Kapryśność każdego materiału ochotniczego, której następstwem jest swoistość dyscypliny wojskowej, która cechuje wszystkie formacje ochotnicze. Stąd niezwykle łatwość demoralizacji przy niepowodzeniach i, odwrotnie, przy powodzeniach wzrost wygórowanej

i drażliwej ambicji żołnierskiej. I jedno i drugie wytwarza warunki, przy których opanowanie podwładnych przez wyższych i niższych dowódców należy do zadań niezwykle trudnych.

Wszystkie te warunki z niezwykle łatwością wytwarzają u żołnierzy przekonanie o swej niższości w porównaniu z nieprzyjacielem, lub, co jest jeszcze gorsze, predysponują one niejako podobne formacje do wewnętrznego nieporządku, zaniku dyscypliny i zaufania wzajemnego pomiędzy dowództwem i żołnierzami, podmywują jakby główny filar, na którym stać musi każda budowa wojskowa — bezsprzeczny autorytet przełożonego w stosunku do swego podwładnego.

Specjalnie dla naszych warunków obciążającym dodatkiem były: a) zmienność charakteru narodowego u Polaków, b) prawdopodobna niższość uzbrojenia i wyekwipowania technicznego w porównaniu z nieprzyjacielem i c) brak wyszkolenia praktycznego nawet wśród tych, co mieli się stać kadrowym materiałem dla następnych rekrutów.

Przyszli i obecni krytycy mojej pracy znajdują i znajdują prawdopodobnie wiele do zarzucenia memu postępowaniu i, naturalnie, nie jest ono bez „ale“. Niechybnym jednak faktem jest, że dzięki systemowi, który zastosowałem w tych niesłychanie ciężkich warunkach, zdołałem opanować o tyle ten kapryśny materiał, że zyskałem u swych podwładnych nie tylko znane powszechnie gorące przywiązanie i miłość, lecz i zupełne zaufanie wraz z absolutnem posłuszeństwem dla siebie i dla każdego przełożonego, postawionego przezemnie. Rzecz ta dotąd napawa mnie dumą i wzrusza serce, gdy myślę o tem, tembardziej, gdy nie miałem w swem rozporządzeniu żadnych środków dla przywiązania do siebie ludzi za pomocą łatwej kariery albo materialnego dobrobytu — te środki zawsze były w ręku u przeciwników mego systemu.

Nie będę zatrzymywał się nad szczegółami systemu, wybranego zupełnie świadomie przezemnie. Ogólnikowo jedynie zaznaczę, że opierałem się w nim na przemożnych namiętnościach, które skłaniały ochotników do własnowolnego oddawania swego życia do rozporządzenia — na drażliwym, jak już zaznaczyłem, patryjotyzmie i na ambicji stania się własnymi siłami dobrym żołnierzem. Starłem się te silne u legionistów uczucia przekuć na wartości ogólnie-żołnierskie; odwagę i spokój w boju, sumiennność w spełnianiu obowiązku, dyscyplinę w wewnętrznych stosunkach i posłuszeństwo przełożonym.

Lecz nie dosyć jest wybrnąć z trudnej sytuacji i przetwarzać ochotników na wojsko, zdadne do użycia w walce z nieprzyjacielem.

Trzeba umieć je stale uzupełniać, a nawet, gdy się chce utrzymać namiętności ochotnicze w napięciu, zapewnić takiemu wojsku rozwój. Jednem słowem trzeba umieć ściągnąć do wojska możliwie wielką ilość ochotników. Zadanie to ściśle jest związane ze stroną polityczną wojska, a pod tym względem Legjony były zupełną anomalją.

Pod względem politycznym nie ułatwiał wcale sytuacji legjonowej krakowski Komitet Narodowy. Nie wchodzę wcale w ocenę tej instytucji, twierdząc, że sam fakt, iż nie miała ona żadnych praw w stosunku do wojska i nic z życia wewnętrznego w wojsku do niej nie należało, czynił z niej instytucję dla wojska mgławicową. Niechybnym zaś faktem jest również, że N. K. N. w wojsku był zupełnie niepopularny. W lepszym wypadku byłem dla niego czemś w rodzaju filantropijnej instytucji, w gorszym machinacją poszczególnych partyj politycznych Galicji, stworzoną świadomie dla przykrycia smutnej prawdy. Osobiście starałem się w wojsku utrzymać znaczenie N. K. N., jako jedynego surogatu reprezentacji politycznej wojska i mogę zapewnić, że nie łatwo mi to przychodziło, pomimo wielkiego autorytetu, jaki posiadałem w wojsku. Lecz jeszcze przed końcem 1914 roku rozporządzenia władz austriackich pozbawiły do reszty N. K. N. nadziei na rozwój jego autorytetu. Nastąpił bowiem zakaz dla Galicjan wstępowania do Legjonów. Odtąd Legjony miały opierać swe istnienie i rozwój jedynie na przyплиwie ochotników z zaboru rosyjskiego.

Każdy z Galicjan, jako poddany austriacki, obowiązany był zarówno do niesienia ofiary ze swej krwi podczas wojny, jak i do innych wysiłków, potrzebnych państwu w ciężkiej próbie wojennej. Legjony więc, jako forma polska tej ofiary i wysiłków, była, że tak powiem, przywilejem Galicjan. Łaskawie im przez Monarchę nadanym i N. K. N. jako przedstawiciel tego przywileju polskiego w Austrii, mógł liczyć na to, że autorytet jego i powaga wraz z rozwojem Legjonów wzrastać będzie. Lecz dla zaboru rosyjskiego rzecz się miała akurat odwrotnie. Udział w Legjonach tutaj nie był żadnym przywilejem, zastępującym obowiązkową służbę na rzecz państwa, lecz łamaniem obowiązków względem państwa rosyjskiego z oczekiwaniem znanych skutków takiego postępowania — kary i zemsty. Jeżeli więc, dopóki całe przedsięwzięcie legjonowe opierało się na Galicji, lekka odpowiedzialność za przywileje łatwo leżała na barkach N. K. N., to z przeniesieniem bazy do Królestwa, nie można było oczekiwać, aby ciężka odpowiedzialność za możliwe kary i zemstę choć cokolwiek szerzej została uznana w Królestwie, jako przynależna instytucji N. K. N. Ten nie wystarczał najzu-

pełniej w tym wypadku, nawet jako surogat instytucji politycznej i prowadzącej politykę, za którą żołnierze krew swoją i cudzą przelewają.

Jeszcze gorszym sposobem załatwienia sprawy był udział w sprawach politycznych komendy Legjonów i wybranych przez nią podkomendnych. Nie wchodząc najzupełniej w krytykę, czy to osób, czy instytucji, śmiem twierdzić, że dziewięć dziesiątych tarć wewnętrznych, niezadowoleń i przykrości życiowych w życiu legjonowem zostałyby usunięte, gdyby Komendanci Legjonów i ich Sztab ograniczył się jedynie wojskową pracą i nie robił prób mieszania się do polityki.

Przyszedłem do przekonania, że państwo austriacko-węgierskie nie chce czy też nie może systemu swego zmienić, że interesa i potrzeby sprzeciwiające się zmianie są zbyt wielkie, a interesa i potrzeby związane z rozwojem Legjonów zbyt małe, aby dla optymistycznej nadziei była dostateczna podstawa, a wobec tego położenie moje w Legjonach stawało się niesłychanie ciężkiem i trudnem do zniesienia.

Jak już zaznaczyłem, lojalna i otwarta moja próba zmiany systemu zrobiona przed pułkownikiem Chranilowiczem i Prezesem Jaworskim, doprowadziła do tego, że zaczęto często przypisywać mi winę niepopularności zarządzeń w stosunku do Legjonów. Obok tego popularność mego imienia zaczęła wzrastać silnie w Galicji i Polsce, a jako skutek tej popularności z jednej strony, z drugiej zaś mego milczenia, naturalnego u oficera na czynnej służbie, było stałe nadużywanie mego imienia dla potwierdzenia poszczególnych poglądów wypowiedzianych w licznych w owe czasy dyskusjach nad Legjonami. Wszystko to razem doprowadziło w prędkim czasie do tego, iż spostrzedz musiałem, iż należę do oficerów mających złą markę u władzy. Gdyby to szło o mnie jedynie, byłoby to mniejsze: spełniałem swoje obowiązki wojenne tak, że najczęściej otrzymywałem pochwały, kariery wojskowej nie miałem na myśli. Lecz, niestety, odbijało się to wszystko na moich podkomendnych, na ich losie i na podwyższeniu dla nich ilości przykrości życiowych. A przecież nie mogłem zapomnieć, że jedynie swoim rozkazem wyprowadziłem ich w pole i ciężko czułem odpowiedzialność za ich los i położenie. Tembardziej, gdy widziałem, że niezadowolenie z ich losu wśród nich wzrasta, a przekonanie o beznadziejności pod względem rozwoju utrwałać się zaczyna. Byłem pod ciężarem podwójnej odpowiedzialności, doprowadzającej często do ciężkich kolizji uczuć, sumienia i honoru. Nie mając zaś żadnej władzy po temu, nie mogłem nawet łagodzić tej kolizji ani ułatwiać sobie choćby w mniejszych spra-

wach niesienie odpowiedzialności. Śmiało powiem, że ta podwójna odpowiedzialność ze wszystkimi jej następstwami była przekleństwem mego życia podczas wojny. Już wówczas odczuwałem konieczność wyjścia z tej fałszywej sytuacji. Ostatecznie zdecydowałem się to uczynić w drugiej połowie 1915 r. po zajęciu przez państwa centralne całego Królestwa.

Po przemarszu przez większą część Królestwa w pościgu za cofającymi się rosjanami miałem jeszcze okazję krótkiego pobytu w Warszawie. Przekonałem się naocznie o słuszności mego poglądu na sprawę i o beznadziejności zdobycia liczniejszego ochotnika przy istniejącym systemie. Byłem też przeświadczony, że teraz właśnie ferment polityczny w wojsku wzbierać zacznie gwałtownie.

Dla zilustrowania głębokiej różnicy położenia przed sierpniem 1915 r. i po nim, pozwolę sobie zestawić te dwa okresy z życia legionowego.

Koniec 1914 roku, jak wiadomo, był okresem najmniej szczęśliwym dla oręża Niemiec i Austrii w ich wojnie z Rosją. Dla sprawy zaś polskiej w związku z temi państwami był poprostu zabójczym. Cała prawie Galicja była zajęta przez Rosjan, w Królestwie, z wyjątkiem drobnych skrawków zachodnich nie było ani śladu żołnierza niemieckiego czy austriackiego. Właśnie wtedy — w listopadzie — przedarłem się ostatnim tchem do Krakowa, do którego bram pukała petersburska gwardja. Nie było tam ani śladu tego ożywienia politycznego, którego świadkami byliśmy w początku wojny. Całą politykę wymiół stamtąd strach i zwątpienie. Zresztą olbrzymiej większości Polaków wydawało się pewnem, że kwestje polityczne, których wojskowym wyobraźniem były Legjony, były na zawsze pogrzebane. Dodam zaś do tego, że wówczas byliśmy źle uzbrojeni i bardzo lichy, powiem żebraczy wyekwipowani. Ani jednego karabinu maszynowego, przestarzałe armatki z dymnym prochem, ani jednej kuchni polowej, co przy długich marszach odbywanych wspólnie z innym wojskiem oznaczało, że żołnierz albo musiał być przemęczony, albo na pół głodny, bez ciepłej odzieży przy wzrastającym zimnie, w podartym obuwiu przy jesiennym błocie lub ostrej gołoledzi. Nieraz wtedy, przejeżdżając koło moich bataljonów, gdy słyszałem stały głuchy kaszel, rozdzierający piersi, gdy widziałem w oczach i na policzkach u przemęczonych żołnierzy gorączkę, myślałem, że się nadają one bardziej do szpitala, niż do boju. I do prawdy. Śmiem zapewnić, że gdybym wówczas pod wpływem ogólnego zwątpienia politycznego, w ten właśnie — szpitalny — sposób postawił koniec zarówno pracy swojej, jak i żołnierzy, w najostrzejszym sądzie

odpowiednich rzeczoznawców znalazłbym uznanie i poparcie. Lecz właśnie z tymi na wpół chorymi, źle ubranymi, lichy wyekwipowanymi żołnierzami wziąłem wówczas udział — nie bez sławy — w ciężkich walkach pod Limanową, zakończonych u schyłku roku dwudniowym bojem pod Łowczówkiem, gdzie oddział w krwawych stratach złożył ofiarę z 40 proc. swego składu.

Rozumowałem wówczas w sposób następujący: Nadzieje polityczne zgasyły, a wojska, po których stronie walczyliśmy, znajdują się w nieszczęściu. Pozostaje więc prawdopodobnie tylko honorowy koniec eksperymentu polityczno-wojskowego, to znaczy, do końca wypełnić musimy własnowolnie wzięty na siebie obowiązek wypływający z honoru żołnierza polskiego i koleżeństwa broni. I odczuwałem doskonale, że w tem rozumowaniu mam za sobą uczucia moich podwładnych. Żołnierz polski, zgodnie ze swoją tradycją, obdarty, pół głodny, bosi i źle uzbrojony ginął na straconym posterunku w imię swego honoru i w imię wierności płynącej z obowiązku nieopuszczania kolegów broni, znajdujących się w nieszczęściu.

Całkiem inaczej wyglądała sprawa w drugiej połowie 1915 roku. Rosja była pobita, całe Królestwo wraz z Warszawą oswobodzone od wojska i rządów rosyjskich. A wraz z tem wszystkie wątpliwości polityczne, nierozstrzygnięte kwestje, zapytania bez odpowiedzi, jednym słowem wszystkie komplikacje polityczne, związane z kwestją polską i Legionami, stawały na porządku dziennym. Teraz żadna siła w świecie nie mogła zatrzymać pytań ze strony rodziców, przyjaciół czy znajomych żołnierzy i werbowanych rekrutów: „o co właściwie wy się bijecie“. Żadne wykręty nie pomogą, gdy padnie zapytanie: „kto was, dzieci, upoważnił, abyście swemi przysięgami wojskowemi dysponowali nie tylko swoją krwią, która do kraju należy, ale i polityką kraju — zawierali sojusze, czy oddawali w poddaństwo“. I jeszcze, gdyby cała impreza mogła liczyć na powodzenie. Powodzenie tyle rzeczy tłumaczy, tyle uprawnia. Lecz system zastosowany do Legionów z góry skazywał imprezę na niepowodzenie i porażkę.

Nauczony dotychczasowem doświadczeniem wiedziałem, że odpowiedzialność moja, a raczej kolizja różnych odpowiedzialności zaostrzy się teraz dla mnie niesłychanie. Zdecydowałem usunąć się. Wygrywałem w ten sposób nie tylko wyjście z fałszywego położenia, a więc spokój sumienia i honoru, lecz może i zwiększenie szans na zmianę systemu. Nie łatwą mi była ta decyzja. Głęboko przywiązany do pracy i do swych podwładnych i kolegów broni, odczuwałem, mówiąc szczerze,

tragicznie ruinę własnowolną przyszołści żołnierskiej w wojsku polskim, rzeczy wymarzonej i ukochanej od dzieciństwa. Przy wszelkiem jednak rozumowaniu dochodziłem do tego samego wniosku: konieczność złożenia dymisji.

Niestety, wtedy — we wrześniu 1915 roku nie mogłem wykonać swej decyzji. Przy pierwszej próbie wysondowania opinii wojska — w tym celu badałem wszystkich starszych oficerów — przyszedłem do przekonania, że usunięcie się moje wstrząśnie tak silnie moralnie wojsko, iż następstwem istniejącego już rozdrażnienia muszą być ekscesy, których znowu za wszelką cenę chciałem uniknąć. Wobec tego postanowiłem dymisję odłożyć i starać się odzwyczajać wojsko od wiązania zbyt silnie swego losu z moim.

Tak minął rok, w ciągu tego czasu wszystkie moje przypuszczenia zdążyły się sprawdzić najzupełniej. Królestwo nie uznało za swoje Legjonów postawionych prawnie i organizacyjnie tak jak były one postawione. Pozostały one dla kraju czemś egzotycznym. Rozpaczliwe wysiłki tej części Legjonów, której przywilejem było uprawianie polityki, mianowicie aparatu werbunkowego, doprowadziły do tego, że stawał się on coraz bardziej niepopularnym i zyskiwał przykrą dla stosunków Królestwa sławę roboty policyjno-politycznej. Zgodnie z tem położeniem ochotnicy, zgłaszający się do Legjonów, byli bardzo nieliczni, tak że jednostki taktyczne nigdy nie mogły pokrywać swych strat. Gorzej jeszcze — jakościowa wartość tych ochotników była bardzo niska. Zaledwie mała część odpowiadała względnie wysokiej przeciętnej, jaka w Legjonach wyrobiła się dla morale żołnierza, jego zapалу, przywiązania do sztandaru i jego honoru. Większość była to zbieranina o bardzo niskim poziomie i prawem w Legjonach stał się fakt, że z nadejściem uzupełnienia trzeba było wprowadzać środki ostrożności, jakich dawniej nie znano. Wreszcie beznadziejność sytuacji i odgłosy życia w Królestwie wprowadziły w życie legionowe silny ferment niezadowolonia. Tarcia wszelkiego rodzaju mnożyły się niepomierne. Wszystko to razem doprowadziło do tego, że starsi oficerowie legionowi podali w czerwcu 1916 roku memorjał, w którym prosili o gruntowną zmianę systemu, prosząc w razie niemożliwości o rozwiązanie zupełne Legjonów.

W tej sytuacji wiedziałem z poprzedniego mego doświadczenia, że dla mnie kolizja sprzecznych odpowiedzialności zaostri się silniej niż kiedykolwiek. Zdecydowałem się więc tym razem wykonać swój zamiar złożenia dymisji. Przeczekałem ciężkie boje nad Styrem i Stochod-

dem, gdyż bałem się, aby moje podanie się do dymisji nie wpłynęło na zachowanie się żołnierzy podczas boju i skorzystałem z pierwszej okazji, jaka się nadarzyła w stałych służbowych tarcach, by wnieść podanie o dymisję.

W liście do pułkownika Chranilowicza, referenta spraw legionowych przy głównej kwaterze cesarsko królewskiej armji, wyjaśniłem, że powód, na który się powołuję w oficjalnem podaniu jest tylko pretekstem, ułatwiającym danie mi dymisji, nawet z uznaniem mnie, jako winnego. Natomiast istotnemi przyczynami są: a) fałszywa sytuacja, w której się znajduję oddawna, niosąc wobec anormalnych stosunków prawnych dla Legjonów, podwójną odpowiedzialność, b) niemożliwość przy istniejących stosunkach nie tylko zharmonizowania sprzecznych odpowiedzialności, lecz nawet ich łagodzenia, c) zupełna beznadziejność położenia Legjonów przy dotychczasowym systemie. Wreszcie, będąc wezwany do Głównej Kwatery, w rozmowie osobistej z tymże pułkownikiem przedstawiłem jako jedną z głównych konieczności dla dalszego rozwoju Legjonów — reprezentację polityczną Królestwa z nadaniem jej pewnego quantum praw w stosunku do wojska formowanego już wyłącznie z ochotników tego kraju. Na zapytanie zaś, czy zdaniem mojem, byłaby wystarczającą reprezentacją jedynie okupacji austriackiej, odpowiedziałem, że w Królestwie i tak silnemi są podejrzenia o chęć zrobienia nowego podziału Polski, taka więc instytucja byłaby pośredniem tych podejrzeń potwierdzeniem i z tego powodu nie przyczyniłaby się wcale do rozwoju Legjonów. W końcu września otrzymałem dymisję, zredagowaną w słowach bardzo pochlebnych dla mojej pracy wojennej.

Wyznaję otwarcie, że pomimo ciężkiego żalu z powodu zerwania związku z kolegami broni, pierwszy raz odetchnąłem swobodniej. Nie czułem na sobie całego ciężaru komplikacji, w które los i praca moja mnie wtrąciły.

Dodam tu odrazu, że silne wzburzenie i masowe szukanie wyjścia z Legjonów po mojej dymisji przypisuję nie faktowi samej dymisji, lecz pobocznym krokom, które zostały uczynione w Legjonach w związku z moją dymisją. Mówię tu o ostrem połamaniu wszystkich jednostek, które złączyła tradycja wspólnych bojów i trudów wojennych oraz prawie przymuszona dymisja, udzielona memu zastępcy, pułkownikowi Sosnkowskiemu. Przy podnieconym stanie Legionistów środki te zastosowane z surową bezwzględnością uważane były, jako niezasłużona kara, zaaplikowana natychmiast po ciężkich bojach z wielkimi

stratami, gdzie Legjony otrzymały publiczne — we wszystkich oficjalnych sprawozdaniach — podziękowanie i uznanie za waleczność i „ofiarnie poświęcenie się w trudnej sytuacji”.

Po mojej dymisji, osobiście przy wzburzeniu w Legjonach, uważałem siebie jako persona ingrata i zdecydowałem zająć się swymi prywatnymi sprawami, usuwając się, o ile możliwości, od spraw publicznych. Jedynym moim wystąpieniem była odpowiedź na publicznie do mnie zwrócony list profesora Jaworskiego. Poza tem wystosowałem po 5 listopada list do pułkownika Rydza, napisany pod wrażeniem aktu 5 listopada. Prosiłem go, by zechciał w moim imieniu zachęcić oficerów i żołnierzy w Legjonach do spokoju i ufności.

Ku wielkiemu memu zdumieniu w połowie listopada otrzymałem zaproszenie Ekscelencji Kuka, generał-gubernatora w Lublinie.

W rozmowie Ekscelencja Kuk zawiadomił mnie o swoim zamiarze przedstawienia mnie rządowi państw okupacyjnych jako członka przyszłej Rady Stanu Królestwa Polskiego, której zadaniem miało być pomiędzy innymi sformowanie ochotniczej armii narodowej. Odpowiedziałem, że żyjąc przez cały czas wojny zdala od Warszawy i nie mając bezpośredniego stosunku z ludźmi, zajmującymi się polityką, trudno mi osądzić wpływ aktu 5 listopada na Polskę, a bez takiej oceny trudno zdobyć się na odpowiedź na zaszczytną propozycję.

Otrzymałem wówczas pozwolenie na wyjazd do Warszawy. Wszystkie umysły były tam zajęte przyszłą instytucją Rady Stanu i jej składem osobistym. Zrobiłem i ja swoją próbę pod tym względem. Sądziłem, że najlepiej dla Rady Stanu będzie, gdy będą w niej reprezentowane wszystkie stronnictwa; sądziłem, że tylko taka miałaby dostateczną powagę dla kraju i na zewnątrz i taka tylko łagodziłaby sprzeczności i kolizje stronnice zamiast je roznamiętniać. Dla mnie samego, wobec tego, że nie wiązałem siebie od początku wojny z żadnym stronnictwem, myślałem o roli usuniętego od spraw politycznych doradcy w sprawach wojskowych, które, niestety, tak długo i tak skutecznie dla umysłów polskich były obcemi.

Prowadziłem w tym celu pertraktacje ze wszystkimi stronnictwami i, jak wiadomo, pertraktacje te nie powiodły się. Klub międzypartyjny, reprezentujący dobrą połowę kraju, usunął się i został usunięty od formacji Rady Stanu. Zawahałem się wówczas w decyzji i dla siebie samego, usunąłem się od pertraktacji i ze sporów przy układaniu listy przyszłych Radców Stanu i wyjechałem z powrotem do Krakowa.

Na swoje nieszczęście — gdyż za nieszczęście i błąd uważałem

swój udział w Radzie Stanu — po namyśle postanowiłem wyrazić zgodę na zaszczytną propozycję Ekscelencji Kuka. Miarodajnymi były wówczas dla mnie dwa motywy. Pierwszy główny — była to chęć przysłużenia się w sprawie formowania wojska. Znając kraj, wiedziałem, że moje usunięcie się wpłynie bardzo ujemnie na ilość zgłaszających się ochotników. Drugi poboczny motyw — była to obawa, abym po swojej dymisji i usunięciu się od Rady Stanu po nieudanych pertraktacjach z klubem międzypartyjnym, nie zaczął uchodzić, jako zaprzeczający swej niedawnej przeszłości, w której byłem pierwszym podnoszącym hasło samodzielnego i czynnego wystąpienia Polski po stronie mocarstw centralnych w ich wojnie z Rosją.

Pomijając motyw drugi, jako poboczny i nie mający, o ile mi się zdaje, żadnego znaczenia w mojej sprawie, chcę się zatrzymać na pierwszym, gdyż był on rozstrzygającym zawsze w mojej pracy w Radzie Stanu. Byłem wtedy optymistycznie usposobiony co do możliwości rozwoju ochotniczego wojska w Polsce.

Wydawało mi się rzeczą jasną, że kto chce formować ochotnicze wojsko, musi dopasować się do tych uczuć, które skłaniają ludzi do wstąpienia do wojska z własnej i nieprzymuszonej woli, czy to są pieśniadze i błyszczące mundury, gdy idzie o wojsko najemne, czy też jakakolwiek namiętność polityczna, lub żądza sławy, zadowolenie ambicji i temu podobne uczucie. Dla młodzieży polskiej — czy to w Legjonach, czy poza nimi — miarodajnymi były dwa uczucia, jak to już wskazałem wyżej. Silny i drażliwy patryjotyzm oraz silnie rozwinięta ambicja żołnierza polskiego, własnymi siłami zdobywającego sobie uznanie w otoczeniu. Zdawało mi się więc logicznem przypuszczać, że teraz, gdy publicznie, na cały świat, ogłoszono o chęci formowania ochotniczego wojska narodowego i miano za sobą dwa lata próby, nieudanej z powodu niedostosowania się do tych zasadniczych namiętności, — że teraz muszą nastąpić zmiany na lepsze.

Byłem również dostatecznie odczytany w odpowiedniej literaturze fachowej, aby zdawać sobie dokładnie sprawę z głębokich uprzedzeń, jakie istnieją wśród oficerów fachowych w stosunku do wszelkich formacji ochotniczych z ich swoistymi formami bytu i organizacji. Wiedziałem z doświadczenia, że te uprzedzenia stanowią nieraz poważną przeszkodę dla rozwoju wojska, gdy ono skazane jest na ochotnicze uzupełnienie i rozwój. Lecz i w tym wypadku sądziłem optymistycznie o przyszłości wobec uroczystości ogłoszonego zamiaru formowania właśnie ochotniczego wojska. Oprócz tego sądziłem, że z chwilą, gdy po

akcie 5 listopada los Polski, jako państwa, zdawał się ustalać, ochotnicze wojsko jest uważane, tak jak ja je zawsze uważałem, za objaw przejściowy, że zatem wszystkie urządzenia z niem związane, nie mają charakteru stałego, obowiązującego i na czasy pokojowe, a więc i uprzedzenia w stosunku do nich mogą być usunięte.

Rada Stanu — co prawda — nie była Rządem Polskim — bo pod tym względem nie dzieliłem wcale iluzji większości moich kolegów z Rady Stanu i przypuszczałem z góry, że fakt ten nie przyczyni się do popularności instytucji dla spraw werbunku ochotników. Lecz znowu przypuszczałem, że prawa tej instytucji w stosunku do wojska, specjalnie w zakresie werbunku będą ocale niebo wyższe od praw Naczelnego Komitetu Narodowego. A zarazem znałem dobrze usposobienie wśród Legionistów i młodzieży polskiej. Tęsknota do nakazu ze strony Rządu Polskiego była tam tak wielka, że czerwoni radykalni przysięgaliby na absolutne posłuszeństwo absolutnemu Monarsze Polskiemu, a odwrotnie, zacięci rojaliści śpieszyliby wykazać także posłuszeństwo Rządowi skrajnie republikańskemu. W tych warunkach, przypuszczałem, młodzież nie będzie analizowała kwestji prawnych, byleby związek wojska z instytucją Rady Stanu był wyraźny, a to wydawało mi się pewnem.

Wreszcie jako ostateczny argument na korzyść swego optymizmu brałem wyniki swych rozmów z obu Panami — Eksceleńcją v. Beselerem i Eksceleńcją Kukiem, którzy jako General-Gubernatorowie obu okupacji mieli przemożny wpływ na sprawy polskie. Byłem zaszczycony rozmową z obu wysokimi Panami, obu też podałem krótkie memorjały w sprawie wojska, gdzie jak zwykle, podkreśliłem konieczność według mego zdania, liczenia się z nastrojami w narodzie tak nastrojowym, jakim są Polacy.

Ani chwili nie przypuszczałem, aby powody, które mnie skłoniły do dymisji, mogły być nieznane obu Wysokim Panom. A wobec tego wyciągnięto mię bez mojej po temu prośby z zacisza, do którego się był usunął i wobec tego, że żaden z tych dygnitarzy, w rozmowach ze mną nie raczył ani słowem mnie ostrzedz, że sprawy wojskowe mogą i w przyszłości być załatwiane w ten sam sposób, jak dotąd, w stosunku do Legionów, mogłem, być może naiwnie, nie być pesymistą do zmian, które jedynie według mego głębokiego przekonania decydowały o udaniu się werbunku ochotników.

Wreszcie zaznaczam, że gdybym choć słowem był uprzedzony, że system w stosunku do wojska nie ulegnie zmianie, nie wahałbym się

usunąć od udziału w Radzie Stanu, gdyż byłbym przekonany, że zadanie, postawione Radzie Stanu, sformowania ochotniczego wojska narodowego nie daje się wykonać.

Plan pracy, który wówczas miałem dla przedstawienia go Radzie Stanu, i Władzom Okupacyjnym, zapewniał, zdaniem mojem, powodzenie rekrutacji. Polegał on na tem, by odpowiednio rozkwaterować Legjony w kraju i stworzyć rekrutację wprost od bataljonów baterji i szwadronów z pominięciem zupełnem epecjalnej organizacji werbunkowej, nadzwyczajnie niepopularnej w kraju, a specjalnie wśród tych, na których przedewszystkiem liczyć trzeba było. Wojsko, odbywające ćwiczenia, pełniące codziennie służbę na oczach wszystkich, zawsze jest pociągającym dla dużej części młodzieży. Gdy zaś to wojsko jest tak wesołem i towarzyskiem, jakimi były Legjony i gdy ma za sobą świeżą tradycję chwalebnych dla niego bojów, siła atrakcyjna znacznie się zwiększa. To swoje oświadczenie opierałem na doświadczeniach z pracy organizatorskiej ze strzelcami przed wojną, i z udanych prób rekrutacji, które podczas wojny tą właśnie metodą prowadziłem w Kieleckiem i Lubelskiem. Następnie sądziłem, że pierwszy krok powinien polegać na rozwnięciu istniejących jednostek legjonowych w wyższe za pomocą wyłącznie materiału kadrowego Legjonów, co by odpowiadało silnej ambicji żołnierskiej, a zarazem usunęłoby przy pierwszych krokach wiele z podejrzeń i motywów powstrzymujących, wobec braku odpowiedniego materiału, powołania oficerów i podoficerów z armji niemieckiej i austriackiej tylko wtedy, gdy nastrój pod wpływem pierwszych udanych kroków o tyle się wzmocni, że już wytrzyma ten niewątpliwie niepopularny wśród ludności środek.

Po ukonstytuowaniu się Rady Stanu bardzo prędko przekonałem się, że sprawa rozwoju Legjonów wcale nie jest tak prosta, jak ja sobie wyobrażałem. Widocznem było, że co do Legjonów państwa okupacyjne nie są jeszcze pomiędzy sobą w zgodzie, zamknięto nawet do nich dopływ nowych ochotników. Tembardziej więc nie były one w stanie rozporządzalnym dla Rady Stanu. Jedyną częścią ich, która zdawała się być swobodną od niewiadomości swego losu i która miała widoczną carte blanche do ostentacyjnego poddawania się Radzie Stanu, była to część, która z powodu zawodowego uprawiania polityki w kraju właściwie wojskiem nie była wcale. Lecz ta część — aparat werbunkowy — właśnie była nadzwyczajnie niepopularną i obciążała z góry swoją służbą rachunek powodzenia akcji werbunkowej wielkimi mi-

nusami. W każdym razie, o moim planie, który, według mego zdania, zapewniał powodzenie mowy być nie mogło i zamiast żywej pracy, trzeba było w Radzie Stanu stworzyć papierowe projekta.

W Radzie Stanu zostałem wybrany do Wydziału Wykonawczego, gdzie mi został poruczony referat przy specjalnie skonstruowanej Komisji Wojskowej, której pierwszym zadaniem było przedstawienie projektu co do kompetencji Rady Stanu w sprawach wojskowych i co do sposobu rekrutacji ochotników. Co do mnie, reprezentowałem kierunek, żądający rozgraniczenia spraw ściśle wojskowych (organizacji, nauki, uzbrojenia i wyekwipowania) od samej rekrutacji, z oddaniem pierwszych w ręce cywilne Rady Stanu i jej organów. Motywy moje były następujące. Z chwilą, gdy, jak widziałem, położenie prawne Legionów nie upoważnia wcale do użycia ich bezpośrednio dla celów rekrutacji, sądziłem, że dla powodzenia akcji należy użyć tego, co mogło być najpopularniejszym i co wzbudzałoby najmniej podejrzeń u uprzedzonych, mianowicie instytucji cywilnych polskich. Ogromna większość moich kolegów z Komisji Wojskowej była innego zdania. Dążyła ona w swych projektach do przetworzenia Komisji coś w rodzaju Ministerjum wojny z różnemi funkcjami administracyjnemi, traktując werbunek tylko jako część pracy tego ministerjum. Odnosząc się z natury rzeczy z gorącą sympatją do prób organizacji Rządu Polskiego, pomimo, iż dla danych warunków nie podzielałem iluzji moich kolegów co do możliwości praktycznego urzeczywistnienia wszystkich ich projektów, nie mogłem zasadniczo większości się opierać. Liczyłem, że praktyczna dyskusja wykreśli granice w przyszłości, i dla przyspieszenia sprawy ustąpiłem, zdecydowany lojalnie reprezentować projekt wszędzie, gdzie to będzie wskazane. Projekt został przez plenum Rady przyjęty i oddany obu Komisarzom Państw Centralnych.

Do dyskusji żadnej nad tym projektem nie przyszło. Jak wiadomo po dłuższym czasie został on potraktowany per non est i otrzymaliśmy rostrzygnięcie sprawy, które nie uwzględniało ani zasad ani szczegółów projektu. System, jaki ustanowiono, był jota w jotę jednakowy z dotychczasowym systemem legjonowym. Nawet niepopularna organizacja werbunkowa zostawała na miejscu w tej samej roli. Udział Rady Stanu w pracy nad formowaniem wojska został wprowadzony do zera, gdyż wprowadzenie do komisji asenterunkowych przedstawicieli miejscowego społeczeństwa bez żadnego zresztą wpływu na rzecz samą, nie zmieniło w niczem istoty rzeczy — usunięcia jedynej instytucji polskiej od związku i wpływu na wojsko narodowe. Druga zmiana,

mody austriackiej, (uniformow, ćwiczeń, instruktorów, personalu administracyjnego) na niemiecką, naturalnie, nie oznaczała zmiany systemu. Dodawała ona pewne minusy w postaci języka niemieckiego, niezrozumiałego dla ludzi, oraz powrotu do tych czasów, gdy wszystko, co było władzą w wojsku, nawet zewnętrznie było czemś zupełnie odrębnem od wszystkich podwładnych, sprowadzonych w ten sposób do roli mniej więcej kolonjalnego wojska, w którym kolor skóry rozstrzyga o przywileju władzy. W Legionach niegdyś wywoływało to silne tarcia i niezadowolenia i wreszcie przy przemianowaniu Legionów na korpus pomocniczy polski został szczęśliwie zaniechane.

Po tem rozstrzygnięciu było dla mnie zupełnie jasnem, że w tych warunkach akcja werbunkowa udać się nie może. Zupełnie szczerze i otwarcie wypowiedziałem to w Radzie Stanu i podkreśliłem swoje zdanie przez wstrzymanie się od podania głosu przy głosowaniu nad wydaniem odezwy werbunkowej, podając przytem zupełnie oficjalnie jako motyw prawdopodobną bezskuteczność odezwy. Zaznaczyłem przytem, że z chwilą wydania odezwy, będę uważał za swój obowiązek temu wezwaniu być posłusznym i do wojska się zamelduję, zgłaszając zarazem swoją dymisję z Rady Stanu.

Położenie, które dla udania się akcji werbunkowej tak pesymistycznie oceniałem, obciążone było dodatkowo silnem podnieceniem w kraju całym z powodu kwestji Rządu Polskiego. Muszę się na niej zatrzymać dlatego, że konsekwencją tej kwestji była jedyna sprawa polityczna, w której brałem udział w ciągu mojej pracy w Radzie Stanu. Mówię tu o podaniu się do dymisji Rady Stanu.

Od samego początku swego istnienia Rada Stanu kwestję Rządu Polskiego wzniosła na porządek dzienny wszystkich rozpraw politycznych w kraju. Uznając siebie za zawiązek tego Rządu, Rada Stanu konsekwentnie dążyła do rozwoju każdego z poszczególnych działów swej pracy w ministerja z całym zakresem ich praw i obowiązków. I trzeba przyznać, że o ile przy zawiązaniu się Rady Stanu stanowisko względem niej w opinji kraju był obardzo wyczekujące, to te właśnie jej starania czyniły z niej instytucję rosnącą w popularność i uznanie narodowe. Niestety, jednak, te starania napotkały opór ze strony władz okupacyjnych. Kwestja sama zaczęła przybierać charakter jakiejś przewlekłej choroby samej instytucji, a wraz z tem stanowisko Rady Stanu w opinji kraju spadać zaczęło szybko i gwałtownie. W ostatnich miesiącach mego pobytu w Radzie Stanu byłem świadkiem zjawisk, które każdy tylko, jako zjawiska rozkładu instytucji, charakteryzować

może. Rada Stanu to zamykała swe biura, to znowu je otwierała, zawieszając swe posiedzenia na miesiące. Całą treścią licznych poufnych posiedzeń było rozstrzyganie kwestji — być albo nie być. Z natury rzeczy ten stan prostracji duchowej wzmagał jeszcze bardziej niepopularność instytucji, czyniąc zarazem pobyt w niej dla każdego czynnego człowieka trudnym psychicznie do wytrzymania.

W kwestji bytu albo niebytu Rady Stanu — jedynej, powtarzam, politycznej sprawie, w której brałem udział — rozumowałem w sposób następujący: Pochodziliśmy nie z wyboru, lecz mianowania. Mieliśmy więc podwójne zobowiązanie. Przebieg wypadków doprowadził nas do tego, że nikt z nas i naszych czynności — nie wyłączając nas samych — nie jest zadowolony. Jest mi wszystko jedno, czy z naszej, czy czyjej winy to się stało. Faktem jest, że nie spełniamy tej roli, jakiej po nas oczekiwano. Przyczyną tego niezaprzecznie przykrego dla nas zjawiska być może albo zła zasada, na której instytucja jest zbudowana, albo też nasza do niej niezdatność. Naturalnem więc wyjściem jest podanie się do dymisji, co pozwala swobodnie albo zmienić istotę instytucji, albo też zastąpić nas zdutniejszymi ludźmi. Jak ta sprawa ostatecznie przez Radę Stanu została rozstrzygnięta, nie wiem, lecz powtarzam, była to jedyna polityczna kwestja, którą się zajmowałem podczas mego pobytu w Warszawie i doprawdy wątpię, by najdrażliwszy sędzia znalazł w ten sposób jakiegokolwiek winy przed któremkolwiek z państw centralnych.

W stosunku zresztą do siebie osobiście całą tę kwestję uważałem za całkiem akademicką. Była ona z góry rozstrzygnięta, gdy decyzja w sprawach wojskowych zapadła w całkiem przeciwnym kierunku, niż projekt Rady Stanu. Nie miałem właściwie w niej żadnej pracy; wstąpiłem do niej jedynie dla roboty nad formowaniem wojska, ten zaś dział został zupełnie z kompetencji Rady Stanu usunięty. Do wszelkiej zaś pracy politycznej uważałem siebie za niezdatnego i niechciałem się do niej mieszać. Wreszcie zapowiedziałem już swoje usunięcie się, gdy po wydaniu odezwy werbunkowej zgłoszę się do wojska, gdyż pomimo protestów niektórych mych kolegów, uważałem za niemożliwe łączenie służby wojskowej z Radcostwem Stanu, jako praca o charakterze wybitnie politycznym. Zgłoszenie się zaś do wojska uważałem za konieczne, gdyż to był już jedyny — bardzo zresztą słaby — sposób przyczynienia się do rozwoju wojska, jaki mi został pozostawiony.

Istotnie zgłosiłem się do szefa sztabu przy General-Gubernatorstwie Warszawskiem, podpułkownika Nothe. Prosiłem go, aby Ekscelencji

v. Beselerowi, jako komendantowi wojska, zameldował, że z chwilą wydania odezwy werbunkowej zgłaszam się do wojska; zgodnie z zapowiedzią, którą złożyłem w Radzie Stanu. Podpułkownik Nothe odpowiedział mi, że to robi, wątpi jednak o skutku, gdyż przy tem stadjum rozwoju wojska, z jakim się ma do czynienia, niema właściwie w niem odpowiedniego dla mnie miejsca. Przez parę tygodni czekałem na odpowiedź, innej nie otrzymałem, więc i ta ostatnia droga pracy dla wojska została mi zamknięta.

Z tej rozmowy, jak również z tego, co się działo dookoła — kilkakrotny zakaz zgromadzeń na prowincji, na które byłem zaproszony, aresztowania wśród młodzieży, zbliżonej do mnie — zrozumiałem, że Ekscelencja v. Beseler w swym systemie formowania wojska życzy sobie oprzeć pracę wyłącznie na wpływach i metodach dotychczasowego aparatu werbunkowego dla Legjonów, mój zaś w tem udział uważany jest za zbyt znaczny, nawet za szkodliwy. Powtarzam raz jeszcze — byłem najmocniej przekonany o tem, że i tym razem próba ściągnięcia ochotników do wojska przy tym systemie udać się nie może. Wszystkie moje próby przyczynienia się do rozwoju wojska spotkały się z odmową, nawet wtedy, gdy usuwałem swoją osobę z czynnego wpływu, jak to zrobiłem, zgłaszając się sam do wojska. Zdecydowałem się więc usunąć do prywatnego życia i wyjechać na razie na wieś dla odpoczynku i leczenia swych starych dolegliwości.

Po zgłoszeniu swej dymisji zostałem w Warszawie jedynie dlatego, by lojalnie przedstawić raz jeszcze swoje zdanie w sprawach wojskowych Ekscelencji v. Beselerowi i dlatego, by doczekać rozstrzygnięcia spraw w Legjonach, które przybierały charakter ostrej z powodu przysięgi.

Znając Legjony, wiedziałem, że nie wytrzymają one dalszej próby życia wojskowego, niezależnego od życia kraju, za które życie i krew dawali. Gdy więc znowu swą przysięgą sami w całym kraju mieli zatwierdzić formę bytu państwowego (przysięga na przyszłego króla), sami w całym kraju zawierać mieli sojusze polityczne (wierność wojskom państw centralnych) i czynić to nie z nakazu swych ojców albo przedstawicieli kraju, lecz z własnej nieprzymuszonej woli, bo takim przecie jest akt przysięgi w wojsku ochotniczem — nie mogłem przypuszczać, ażeby akt przysięgi gładko przeszedł. Podkreślam raz jeszcze niezaprzeczony dla mnie fakt, że wśród Legjonistów, jak i wogóle wśród młodzieży polskiej w tym czasie nie szło nigdy o żadne określone formy życia politycznego, ani o żadne sympatje, czy antypa-

tje narodowe. Szło jedynie o to, by być wojskiem i być posłusznym przedstawicielom swojej Ojczyzny.

Nie ukrywałem wcale moich obaw, związanych z oczekiwanym aktem przysięgi i na pytanie w tej mierze, skierowane do mnie przez kolegów w Radzie Stanu, lojalne swe pesymistyczne przypuszczenia wypowiadałem. Obawiałem się jeszcze bardziej, aby rozdrażnienie nie przybrało charakteru ostrego, nie licującego z powagą chwili i honoru wojska. Osobiście więc przy wszystkich spotkaniach z moimi byłymi podwładnymi używałem wszystkich swoich wpływów, aby wszelkim ekscesom zapobiedz. Tę trudną i ze wszech miar przykrą pracę uważałem, jako swój ostatni obowiązek względem sztandaru, pod którym spędziłem dwa długie lata wojny. Sytuacja była niezmiernie drażliwa, gdyż ogromna część oficerów i żołnierzy posunięta była do rozpaczki z powodu ruiny wszystkich swoich nadziei. Dodatkowo na zwiększenie rozdrażnienia wpływała ta okoliczność, że duża część Legjonistów — mianowicie galicjanie — z natury rzeczy solidarnymi ze swymi kolegami broni być nie mogli, solidarność zaś, jak u wszystkich, w twardych i nieszczęśliwych dla siebie warunkach wychowania ludzi była zawsze wśród Legjonistów bardzo silna.

Do końca więc nie byłem pewien przebiegu sprawy. Byłem zdecydowany prosić władzę, abym mógł dzielić los swych byłych podwładnych, których ongi wyprowadziłem własnym rozkazem na wojnę, w razie zajścia w Legjonach, któreby pociągały za sobą ciężkie dla żołnierzy skutki. I wtedy bowiem, byłem przekonany, mój pobyt z nimi przyczyniłby się do utrzymania spokoju i godności żołnierskiej, a zarazem dałby im moralną ulgę w znoszeniu ciężaru losu.

Taką właśnie prośbą zakończyłem swój memorjał do Ekscelencji v. Beselera. Nie zdążyłem go wręczyć z powodu swego aresztowania.

Z przedstawienia sprawy, które tu podałem, a które najzupełniej jest szczere, wynika, że będąc przekonanym, że interesa mojej Ojczyzny wymagają czynnego wystąpienia Polski i po stronie mocarstw centralnych w ich wojnie z Rosją, dawałem temu wyraz w mojej pracy, nawet wtedy, gdy byłem pozostawiony własnym swym siłom i gdy szedłem wbrew opinii większości swego narodu, — jak to było na początku wojny.

Dalej, służąc mojej Ojczyźnie jako żołnierz, gdy warunki ograniczały wojsko do kompletowania się jedynie za pomocą ochotników, wszystkie swe siły, prace i plany przystosowałem nie do czego innego, jak jeno do możliwości rozrostu sił wojskowych. Nie przypuszczałem

ani chwili, żeby praca, tak pojęta, stać mogła w sprzeczności z interesami państw centralnych, specjalnie, gdy one w akcie z 5 listopada, jako główny cel dla stworzonej przez siebie Rady Stanu wyznaczyły formowanie ochotniczej armii narodowej.

Następnie i podczas swej służby w Legjonach i w Radzie Stanu byłem przeciwnym metodom, stosowanym dla formowania wojska, gdyż, pomijając wszelkie inne względy, nie osiągały one, według mego najgłębszego przekonania, swego celu — ochotników do wojska nie przyciągały, owszem odstraszały, a przez rozdrażnienie, wprowadzane przez nie, psuły dobre stosunki danego Państwa do Polski.

Potem we wszystkich wypadkach, gdy następowały momenty głębszych kryzysów w wojsku, staraniem mojem było zawsze zapobiedz ekscesom i ostrym starciom, które wynikać by mogły.

W obu swych pracach — w Legjonach i w Radzie Stanu — zawsze lojalnie i otwarcie wypowiadałem swoje zdanie, wyczerpując wszystkie zależne odemnie środki dla przekonania miarodajnych czynników o konieczności zmiany metody na inną, skuteczniejszą według mego zdania.

Nareszcie, gdy spostrzegłem, że osoba moja zamiast pomóc sprawie, tylko jej szkodzić może, usuwałem się na stronę do życia prywatnego, nie szukając absolutnie niczego z tytułu mojej pracy, czy zasługi.

Więzienie w Magdeburgu, 25. VII. 1918 r.

J. Piłsudski.

(Z listu do księcia Lubomirskiego).

 listopadzie 1918 r. stał się wypadek bynajmniej nie historyczny, ale taki sobie, zwykły. Z dworca wiedeńskiego, przeszedł przez ulicę Marszałkowską i t.d. na ulicę Moniuszki człowiek, którego stanowisko nazywali Józefem Piłsudskim. W przeciągu kilku dni, bez żadnych ze strony tego człowieka starań, bez żadnego gwałtu, podkopu, bez żadnych koncesji czy to leśnych, czy jakichkolwiek innych, stał się fakt najzupełniej niezwykły. Człowiek ten stał się dyktatorem.

Człowiek ten wydawał edykty, powszechnie słuchane, rozkazy, które były wykonywane, mianował urzędników wojskowych i cywilnych. Wszystko wtedy zależało od jego dobrej woli, od jego decyzji.

Biorąc rzecz po ludzku, zwykle, nie mogę nie powiedzieć, że gdyby ten osobnik był nikomu nie znany, ten fakt nie byłby możliwy. Czemu

należy to, moi Panowie przypisać. gdzie szukać tej przyczyny, że temu człowiekowi, oddano władzę? Skąd ten dyktator nienaruszający władzy żadnym gwałtem? Za jedną rzecz ten człowiek był witany, za jedną rzecz, mógł on mieć prawa moralne do zajęcia tego stanowiska, za to, moi Panowie, że nosił ten mundur, za to, że był Komendantem Pierwszej Brygady.

Znając historję dyktatur całej ludności, zastanawiałem się nad tem, jak się dyktatury tworzyły. Zwykle drogi są tu dwie: jedna gwałtu narzucania władzy — druga swobodnego wyboru, wyboru ludzi, którzy w chwili ciężkiej, gdy umysły są zatrwożone, szukają jednego człowieka, żeby jemu los swój w ręce oddać. Tu nie było ani jednego ani drugiego wypadku. Nie było ani wyboru, nie było też gwałtu. Stał się fakt całkowicie inny, fakt moralnej pracy narodu, znajdującego się naprawdę, w wyjątkowej sytuacji położeniu. Ta moralna praca, której dokonał wtedy wielomiljonowy naród, jest faktem niezwykłym. Była ona jak gdyby zaprzeczeniem tej smutnej sławy, którą naród nasz miał w przeszłości.

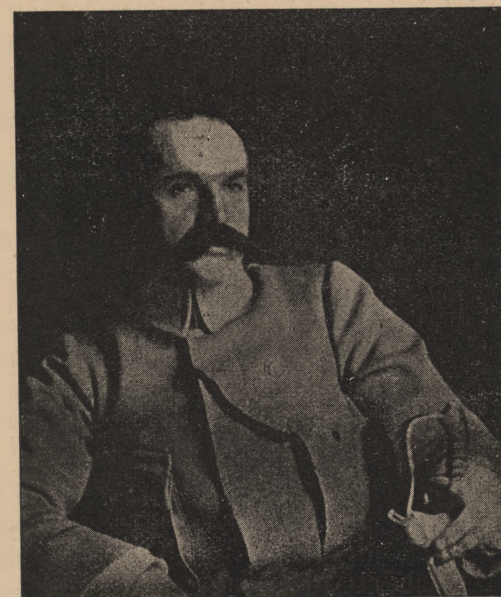
Dyktatorem byłem kilka miesięcy. Postanowiłem zwołanie sejmku, oddanie władzy mojej w jego ręce. Była to moja decyzja. Panowie posłowie, którzy potem nieraz przeciw mnie występowali, zostali wybrani na mój rozkaz, tego rozkazu usłuchali, wybór przyjęli, na określony przezemnie termin do Warszawy się stawili. Sejm się zebrał 8 lutego. Otworzyłem go w tym samym mundurze Komendanta I. Brygady, nie byłem niczem innym, jak tem, czem byłem poprzednio.

W parę tygodni potem stał się nowy fakt historyczny, nowy akt wybrania mnie w sejmie na Naczelnika Państwa Polskiego i Naczelnego Wodza. Z jednych zaszczytów szedłem do drugich.

Gdyby ktokolwiek miał najśmielszą ambicję, gdyby ktokolwiek chciał władzy, gdyby ktokolwiek szukać jej chciał w Polsce, to ziszczeniem tych marzeń byłoby to stanowisko, które mi wówczas dano, wbrew mojej woli i chęci, bo ja tego nie szukałem, gdyż szukałem czego innego. Szukałem wojska i szukałem dla siebie łatwego powietrza. Dano mi wszystko do rąk. Dla upiększenia mojej pracy, dla honoru i zaszczytu moich dzieci dano mi miano, które u nas dziecko, nieledwie, gdy wymawiać słowo polskie zaczyna wspominać ze czcią — dano mi nazwę „Naczelnika“, imię, które łączy wyciska, imię człowieka, który pomimo że umarł, żyje zawsze, wielkie imię Kościuszki. Naczelnika, który w jednym ręku władzę cywilną i władzę wojskową ma piastować, któremu wyjątkowe prawa nadano, ażeby mógł w wyjątkowej sytuacji

wyjątkową pracę dawać. Zaszczyty, honory, zaufanie jednoznacznie wyrażone znowu wywołały mi, gdzieś z zamierzchłej przeszłości wspomnienia dawne, przeklęte; gdzie były te sejmy, które bezradne i krzykliwe o jednoznaczność wołały i nigdy tej jednoznaczności nie miały, gdyż jeden człowiek przez swawolę, płatny jak szpieg, mógł pracę państwa zatrzymać, i zniweczyć. Gdzie te wspomnienia? Pierzchły, zginęły, bo znowu był akt moralny, akt odrodzenia. Lecz odtąd, panowie, te piękne zaszczyty, cudne jak z bajki, odtąd historia się zmienia.

Był cień, który biegł koło mnie. Czy na polu bitwy, czy w spokojnej pracy, czy w pieśczętach dziecka — cień ten ścigał mnie i prze-



śladował. Zapluty potworny karzeł na krzywych nóżkach, wypluwający swoją brudną duszę, opluwający mnie zewsząd, nieszczędzący niczego co szczedzić trzeba — rodziny, stosunków, bliskich mi ludzi, śledzący moje kroki, przekształcający moją myśl — ten potworny karzeł pełzał za mną, ubrany w chorągiewki różnych kolorów — to obcego, to swego państwa, krzyczący frazesy, wymyślające jakieś historie, ten karzeł był moim nieodstępnym towarzyszem doli i niedoli, szczęścia i nieszczęścia, zwycięstwa i klęski.

Moi panowie, powtarzam, nie znam, zjawiska bardziej stałego metodycznie prowadzonego, jak to dotykane rodzinnych stosunków, przed którymi każdy człowiek się zatrzymuje, jak to dotykane moich przyjaciół, mojego otoczenia, każdego nieledwie człowieka, który się do mnie zbliżył, brudnymi rękami, brudną duszą, brudnymi słowami i brudnem, stęchłym powietrzem.

Nie znam, moi panowie, zjawiska bardziej stałego, gdy przebiegam swoją historję za ubiegłe lata...

Miałem przyjaciół, którzy się zmęczyli i odeszli, miałem współpracowników, z którymi źle czy dobrze współpracowałem, którzy także w ten czy w inny sposób odemnie odchodzili. Ale to paskudztwo duszy, które do mnie przylegało, było tak nieodłączne, tak systematyczne, że gdy myślę o przeszłości zawsze się oglądam, czy ubranie moje nie cuchnie. A plucie to chrzczono wysokimi słowami, wysokimi hasłami. Była to praca tak zwana narodowa, praca t. zw. patriotyczna! Nie jest to tragizmem dla mnie. Wylęgać się takie zjawiska mogą tylko w bagnie niewoli, przez które narody przechodzą.

(Z przemówienia w lipcu 1923 r.)

Żołnierze!

Obejmuję nad Wami komendę w chwili, gdy serce w każdym Polaku bije silniej i żywiej, gdy dzieci Naszej Ziemi ujrzały słońce swobody w całym jej blasku. Z Wami razem przeżywam wzruszenie tej godziny dziejowej, z Wami razem ślubuję życie i krew swoją poświęcić na rzecz dobra Ojczyzny i szczęścia Jej obywateli.

Żołnierze! W ciągu wojny światowej w różnych miejscach i warunkach tworzyły się próby formacji wojskowych polskich. Przy kalectwie — zdawało się — nieuleczalnym naszego Narodu próby nawet, gdy były szczytne i bohaterskie, były z konieczności karle i jednostronne. Pozostałością tych stosunków jest niejednolitość, szkodliwa wojsku. Liczę na to, że każdy z Was potrafi siebie przezwyciężyć i zdobędzie się na wysiłek dla usunięcia różnic i tarć, klik i zaścianków w wojsku, dla szybkiego wytworzenia poczucia koleżeństwa i ułatwienia pracy.

Żołnierze! Cały Nasz Naród staje teraz przed zagadnieniami, które rozwiązać będzie mógł tylko przy nadzwyczajnym wysiłku i naprężeniu swej siły i woli. W swoim zakresie zagadnienia te stają i przed nami. Rozwiązać je będzie tem trudniej, że twarda nasza służba na-

klada nieraz ciężaru więcej na uczucia i serce żołnierza. Zarówno w najradośniejszej jak najcięższych chwilach żołnierz musi być opanowanym i zrównoważonym, zdolnym do wykonania swego zadania w porządku i dokładnie. Wykroczenia pod tym względem są tem łatwiejsze, gdy wszystko dokoła w tej podniecającej chwili nie ma tych dodatkowych ciężarów, jakie zawsze na sobie niesie żołnierz.

Chciałbym, abym pod tym względem nie potrzebował robić Wam wyrzutów i abym mógł, zdając sprawę ze swych czynności przed narodem, powiedzieć sumiennie o sobie i o Was, że byliśmy nietylko pierwszymi, ale i dobrymi żołnierzami zmartwychwstałej Polski.

Rozkaz ten przeczytać przed frontem podwładnych mi oddziałów.
Warszawa, 12. listopada 1918 r.

J. Piłsudski.

Wypadło mi w życiu mojem największe szczęście, jakie wypaść może żołnierzowi polskiemu. Gdy myślą przebiegnę dzieje żołnierza polskiego w przeszłości, gdy spojrzę na te smutne postacie historyczne, tak drogie sercu żołnierza polskiego, to z pewnym podziwem myślę, dlaczego mnie wypadło tyle szczęścia, gdy im tego szczęścia nie dano przeżyć. Oto ja, wasz wódz, oto ja, wasz naczelnik, pierwszy mam szczęście przywitać swoich podkomendnych, przywitać tych, których w bój prowadziłem, przywitać jako żołnierzy wolnej, zjednoczonej Polski. Im, tym naszym przodkom, tym, przed którymi korzyliśmy się, będąc w niewoli, im to szczęście nie było dane.

Zwracam się do was, jako do tych, których niegdyś dnia 6-go sierpnia w bój wyprowadziłem; zwracam się do was, jako do tych, którzy w kraju samym umieli przygotować zastępy ludzi zdatnych, gotowych sercem i duszą być we wszystkich wypadkach wolnymi, mężnymi żołnierzami polskimi; zwracam się do was, jako do moich podkomendnych. Większość z was widziała mnie w różnych chwilach, widziała razem w boju, razem wtedy, gdy serce, charakter ludzki łamały się i kruszyły, jak szkło przed uderzeniem losu.

Prowadziłem was, chłopcy, po ciężkich drogach, prowadziłem po ciężkich ścieżkach.

Żołnierz lubi tryumfy, żołnierz lubi wawrzyny, żołnierz lubi jasne słońce zwycięstwa. Ja zaś prowadziłem was po cierpieniach, po turmach, które nie jednemu sercu i charakter łamały, bo ja się nie bałem

prowadzić po tych drogach, ja się nie bałem, że wy się złamiecie. Ja byłem pewien, że tak, jak ja, wytrzymacie w najcięższych chwilach, że w najcięższych chwilach zostaniecie wiernymi Ojczyźnie, wiernymi, mężnymi, silnymi żołnierzami.

Gdy myślę o was, dzieci, to mi przez głowę snują się czteroletnie wspomnienia, niekiedy tak ładne, tak cudowne, tak piękne, chociaż krwią serdeczną przeplatane, że powtórzę słowa poety: „po nich płakać nie umiałbym szczerze”. W tym czteroletnim okresie przejawia się, jak nieć czerwona, jedna i ta sama myśl, z którą wyszło się 6 sierpnia z murów Krakowa, myśl, która teraz dopiero się urzeczywistnia.

6-go sierpnia — krótki okres czasu — byliśmy wolnymi żołnierzami wolnej Ojczyzny. Żadna ręka obca nie śmiała się na nas wówczas położyć, lecz byliśmy wówczas tem, czem w długiej przeszłości narodu był zawsze żołnierz polski.

Nie byliśmy właściwem wojskiem, byliśmy wolontariuszami, byliśmy zapalcami. Tej twardej, codziennej służby żołnierskiej, nie znaliśmy i tej twardej, codziennej służby żołnierskiej nie mieliśmy.

Mieliśmy jedną, wielką cnotę, której nie zna żadne wojsko: cnotą tą jest żywe współzycie z całym otoczeniem. Nie byliśmy odcięci od naszych współobywateli, noszących cywilne odzienie i mundury; nie oddzieliliśmy się od otoczenia żadnym murem chińskim. Byliśmy żołnierzami, ale pomiędzy nami a otoczeniem nie było żadnego ostrego przedziału.

To dało wam, koledzy, wam specjalnie, którzy w takim otoczeniu ciągle pracowaliście, tę możność, którą inne wojska rzadko posiadają, dało wam możność pociągnięcia za sobą do siłowej wojkowej setek i tysięcy ludzi dla służby jednemu i temu samemu celowi. Ta wielka cnota wynika z poczucia i z ducha inicjatywy, którą potrafiłem wpoić w swoich podkomendnych. Wykrzesalem z was młodych tego ducha inicjatywy, tego ducha działania na własną odpowiedzialność, tej umiejętności chwytania każdej okoliczności w lot. Tego ducha każdy z was posiada i dzięki temu żywemu współzyciu z otoczeniem, możecie tworzyć rzeczy, o których spokojny historyk kiedyś powie, że to są cuda.

Lecz każda cnota, o ile w niej trwać jedynie, jest jednostronną. Każda cnota ma swój dodatek, który jest wadą i wada ta, o której wam, jak kolegom otwarcie powiem, i w was również wszystkich istnieje. Czy będę mówił o swoich podkomendnych w I-ej brygadzie, czy będę mówił o P. O. W., to wada ta, wada głęboka istnieje!

Tą wadą jest nadmiar tej cnoty, o której mówiłem poprzednio. Tą

wadą jest nadmiar indywidualnej inicjatywy. Tą wadą jest szybkość reagowania na każde poszczególne zjawisko w swoim otoczeniu. Ten nadmiar inicjatywy i ta wrażliwość na to, co się dzieje dookoła, jest tą wadą, której wojsko, jako wojsko, mieć nie może.

Usunięcie tego nadmiaru cnoty, który staje się wadą, jest dziełem wychowania przez długoletnie trwanie w wojsku, budowaniem na inny sposób, niż ten, który był udziałem waszym, że powiem zdanie jednego z naszych kolegów pierwszobrygadowych, kapitana Olszyny: „W wojsku porządeczek musi być”.

Ten „porządeczek”, ten stały, codzienny, w każdej chwili istniejący w duszy, w zachowaniu, w obcowaniu, porządeczek wojskowy, którego wam brakuje, ten musi być dany przez kolegów, z którymi obecnie wy wszyscy się łączycie, przez kolegów, którzy ten „porządeczek” przez długie lata służby wojskowej w siebie wssali.

Jeżeli my potrafimy połączyć cnoty, które kierują I-szą brygadą i P. O. W., z cnotami, które daje długie wychowanie żołnierskie, zlać to w jedno ciało, wtedy jedynie wytworzy się wojsko, do jakiego ja zawsze dążyłem, czujące razem z narodem każde uderzenie, którego serce bije jednym tętnem z całym narodem, które od narodu żadną ścianą się nie oddziela, a zarazem jednak żyjąc stwarza przykład działania zgodnego i porządnego, przykład ładu i porządku, przykład pewności i siły. Tem wojsko polskie być musi, do tego wojsko polskie dążyć musi.

To jest mój program, panowie. w stosunku do was. Z tym programem idę, do tego programu wszystkich was nawoływać będę. W tym chaosie stanowić musi przykład szybkiego tworzenia i szybkiego organizowania się. Niech u nas przynajmniej Kraków, wbrew przysłowiu, w jeden dzień się buduje. Wtedy, gdy wszystko dookoła tak długo i w tak ciężkich cierpieniach budować się musi.

Koledzy! Zakończę okrzykiem, za który dziadowie i ojcowie nasi umierali, zakończę okrzykiem, za który nasi koledzy krwią serdeczną broczyli: Koledzy! Niech żyje Polska!

(Przemówienie w Warszawie na wieczornicy, urządzonej przez Zrzeszenie b. wojskowych polskich, 1918 r.)

WYSOKI SEJMIE!

Z chwilą, gdy losy w ręce moje oddały ster odradzającego się Państwa Polskiego, postanowiłem sobie jako zasadniczy, podstawowy cel moich rządów — zwołanie Sejmu Ustawodawczego do Warszawy.

W wielkim chaosie i rozprężeniu, które ogarnęło po wojnie całą środkową Europę, chciałem właśnie z Polski uczynić ośrodek kultury, w którym rządzi i obowiązuje prawo.

Wśród olbrzymiej zawieruchy, w której miliony ludzi rostrzyga sprawy jedynie gwałtem i przemocą, dążyłem, by, właśnie w naszej Ojczyźnie, konieczne i nieuniknione tarcia społeczne były rozstrzygane w sposób jedynie demokratyczny: za pomocą praw, stanowionych przez wybrańców Narodu.

Starałem się osiągnąć swój cel jaknajspieszniej. Chciałem bowiem, by kładąc trwałe fundamenty pod swe odrodzenie, Polska wyprzedziła sąsiadów i w ten sposób stała się siłą przyciągającą, dającą zapewnienie nie choćby najszybszego, lecz spokojnego i prawnego rozwoju.

Główne to zadanie moich rządów nie łatwe było do rozwiązania. Nie łatwo jest bowiem utrzymać spokój wśród szalejącej burzy, wśród ogólnej niepewności i chwiejności instytucji i urządzeń ludzkich. Nie łatwo było utrzymać równowagę, rządząc bez ostatecznych środków materialnych i technicznych, rządząc podczas wojny, która rozgorzała na wszystkich naszych granicach.

To też uważam za swój przyjemny obowiązek podnieść tu z wdzięcznością pracę tych, którzy mi ciężkie zadanie ułatwili i pomogli mi je szczęśliwie rozwiązać. Składam swe podziękowanie wszystkim moim najbliższym pomocnikom cywilnym i wojskowym, przede wszystkim zaś obu Prezydentom Rady Ministrów: pp. Moraczewskiemu i Paderewskiemu.

Zgodnie ze swym zasadniczym celem i głębokim przekonaniem, że w Polsce XX wieku źródłem praw może być jedynie Sejm, wybrany na podstawach demokratycznych, — obu rządów, które do życia powołałem, stawiałem jako główny warunek, by uznawały siebie za rząd jedynie tymczasowy, a pracę swą za załatwienie tylko konieczności państwowych i nie regulowały zasadniczych spraw życia politycznego i społecznego za pomocą dekretów, nie uświęconych uchwałą wybrańców Narodu.

Również zgodnie z tym celem całe wojsko polskie, któremu mam

zaszczyt przewodzić, złożyło jednobrzmiące uroczyste ślubowanie, że się podda wszystkim prawom, wynikającym z uchwał i postanowień Sejmu. Osobiście razem z całym garnizonem warszawskim złożyłem to ślubowanie dnia 13 grudnia ubiegłego roku.

Pomimo wszelkich przeszkód udało mi się zasadniczy cel moich rządów osiągnąć i zebrać w Warszawie pierwszy Sejm Polski w warunkach spokojnych, nie przeszkadzających jego pracom.

Uważam, że po jego ukonstytuowaniu się rola moja jest skończona. Jestem szczęśliwy, że posłuszny swej żołnierskiej przysiędze i swemu przekonaniu postawić mogę do dyspozycji Sejmowi swą władzę, którą dotąd w Narodzie piastowałem.

Oświadczam niniejszym, że składam swój urząd Naczelnika Państwa w ręce Pana Marszałka Sejmu.

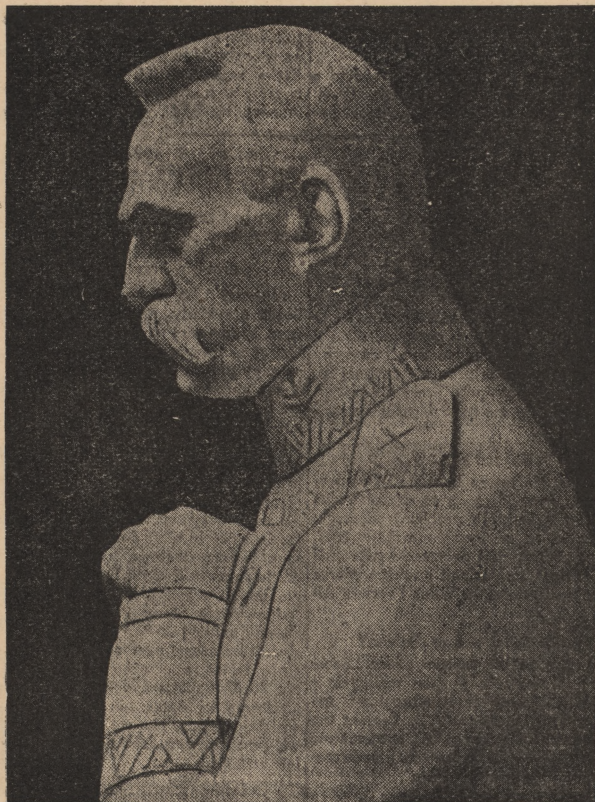
(Deklaracja w Sejmie 20 II. 1919 r.)

Głęboko wzruszony, dziękuję panom za ten zaszczyt i za tę uchwałę, której mocą powierzacie mi znowu, panowie, tę władzę, którą przed chwilą w ręce wasze złożyłem. Uważam to sobie, panowie, za wielką nagrodę, za ciężką, nieraz bardzo ciężką pracę całego swego życia. Nie mogę jednak ukryć, panowie, że postanowienie wasze stanęło w sprzeczności z moimi najserdeczniejszymi planami i zamiarami. Uważam, że ja z moją naturą czynną, z moim, przyznam się otwarcie do wady uporem litewskim z moją względnie małą ustepliwością w zawitych, trudnych, a specjalnie w drażliwych sprawach politycznych, mało się nadaję do spełnienia urzędu, który ma charakter przede wszystkim polityczny. Z chwilą więc, gdy udało mi się spełnić zadanie moje jako głównego Naczelnika rządu — zwołać Sejm, miałem zamiar całe swoje siły i całą swoją energję poświęcić jedynie i wyłącznie sprawom wojskowym.

Jako żołnierz, posłusznie stoję wobec postanowienia waszego, którzy reprezentujecie tutaj całą Ojczyznę. Przyjmuję ten urząd, który wy swoim postanowieniem mnie oddajecie. Liczę, że, przy tym zaufaniu ułatwicie mi ogromnie niesienie tego ciężaru, który na barki mi włożyliście. A chcę wierzyć, moi panowie, że razem z Sejmem dokończę wykonania tego testamentu, który nam przez przodków, jęczących w niewoli, został przekazany. Stworzyliśmy Polskę Wolną i Niepodległą

Polska tęskni do ostatniego słowa, które w tym testamencie stoi — do Polski istotnie Zjednoczonej. Chcę wierzyć, że przy pomocy całego Sejmu, uda się tę sprawę, która wydaje się nieraz bardzo ciężką, z tryumfem i sławą dla Polski załatwić. Jeszcze raz dziękuję panom.

(Objęcie władzy Naczelnika Państwa 20 lutego 1919 r.)



Walcząc od 6-ciu miesięcy ramię przy ramieniu, zawarły oddziały Wojska Polskiego, czy to powstałe z Legjonów Polskich, czy z oficerów i żołnierzy byłych armii państw zaborczych, ściśle krwią i trudami wojennymi przypieczętowane braterstwo broni.

Tak, jak im jeden cel przyświeca i jeden rozkaz prowadzi: Wola narodu i obrona Ojczyzny, — tak też stali się oni jednolitem Wojskiem Polskiem.

By i zewnętrznie zaznaczyć jedność, dając wyraz tej woli całego Wojska do zatarcia różnic, nakazuję wszystkim oficerom i żołnierzom Wojska Polskiego nałożenie odznaki, noszonej dotychczas na kołnierzu przez formacje Legjonów Polskich.

Niech ten historyczny znak, którego świetną tradycję podjęły Legjony, stanie się od dziś odznaką całego Wojska Polskiego.

Warszawa, dnia 2 czerwca 1919 r.

J. Piłsudski,
Naczelnny wódz.

ŻOŁNIERZE !

Po upadku Polski każde pokolenie zrywało się do walki o utracony byt niepodległy. każde pokolenie stało na pole bitwy żołnierza, jako przedstawiciela siły Ojczyzny, by krwią serdeczną wpisywał w księgę dziejów: „Jeszcze nie zginęła“.

Ulegali pod przemocą, szli jak wierni żołnierze na śmierć, zaludniali mroźny Sybir lub ginęli w tułaczce po szerokim świecie.

Po ostatniej klęsce 63 roku zaległa nad Polską noc czarna niewoli, noc beznadziejna. Zdawało się, że już nowe pokolenia nie odważą się stanąć do walki, że zaborcy zatryumfowali na zawsze. Imię Polski zostało wymazane z pamięci świata, a naród szedł na poniewierkę, jak każdy niewolnik.

I stanęło przed Polską w dzień wybuchu wojny światowej wielkie zagadnienie. Brat musiał iść na brata, syn miał strzelać do ojca, gdyż wojna między zaborcami słała setki tysięcy Polaków, by walczyli przeciw sobie, nie za własne istnienie, lecz dla dobra swych panów i zaborców.

W tym ciężkim momencie, w najswobodniejszej części Polski,

w Krakowie stanęła do boju garść młodzieży, robotników i chłopów, by w rozpaczliwej chwili próbować walczyć nie pod obcym, lecz pod własnym sztandarem, by umierać na polu bitwy nie jako żołnierz z pod obcego znaku, lecz jako żołnierz polski.

Było to w dniu 6 sierpnia, gdy sformowana w ten sposób drużyna pod moją komendą stanęła pod bronią, jako pierwsza kompanja kadrowa przyszłych wojsk polskich.

Były to nowe narodziny żołnierza polskiego.

W ciężkich przejściach, podczas cierniowej drogi na polach bitew, w więzieniach i obozach jeńców obchodzono tę rocznicę, jako święto żołnierskie. Dziś, gdy po raz pierwszy w wolnej i zjednoczonej Ojczyźnie nadchodzi dzień 6 sierpnia, szlę Wam wszystkim, jako najstarszy żołnierz obecnego pokolenia i Wódz Naczelny Wojsk Polskich swe pozdrowienie.

Czy w samotnym patrolu, czy w okopie strzeleckim, czy przy ćwiczeniach w garnizonie dnia tego wspomnijcie wszystkich tych naszych poprzedników, co zginęli na polach bitew lub na poniewierce wygnań i tułaczek światowych. A zarazem niech pierś Wasza wzbierze dumą, żeście już nie niewolniki obcych, lecz swobodni obywatele wolnej Ojczyzny, wezwani do obrony Jej życia przed wszelkimi zakusami jakichkolwiek wrogów.

Żołnierze! Krew Waszych przodków pisała w dziejach smutne „nie zginęła“. Wy szczęśliwsi, krwią swą piszecie „Żyje“. I zginąć nie może. Rozkaz przeczytać we wszystkich oddziałach Wojsk Polskich.

Warszawa, dnia 31 lipca 1919 r.

J. Piłsudski
Wódz Naczelny



Na froncie 1916 r.

Wiele rzeczy i wiele spraw, które dziś przypisują mojej zasłudze, należy jeszcze do tworzącego się procesu dziejowego i historia będzie osądzać moje grzechy i moje zasługi. Osobiście jestem dumny z tego, że byłem nowatorem wychowania żołnierza. Koniec wojny światowej zaznaczył się tragicznym załamaniem się i rozsypką armji naszych krajów ościennych. Nazywam to tragicznym dlatego, że niektóre z tych armji były się dobrze i koniec ich żalosny ma prawo wywoływać współczucie. Wszelkie próby zebrania tych armji, skupienia ich, odnowienia, dawały w rezultacie tylko zbiórkę oficerów, żołnierzy zabrakło. Nie jest to przypadek, że wtedy, gdy Polska zbierała swe siły wojskowe, stanęli w szeregach nie tylko oficerowie, ale i olbrzymia masa żołnierza. W surowym swym sądzie o sobie samym powiedziałem, że to jest moja zasługa, że byłem dobrym żołnierzem, i dlatego zawiesiłem na piersiach swych znak *Virtuti Militari*, który odtąd będzie odznaczał dobrych żołnierzy.

Studjowałem psychikę organizacji armji, by uczyć się, jak wojsko formować. W tym czasie żyliśmy pod suggestją pruskich metod organizacyjnych. Studja te dały mi to przekonanie, że organizacja na wzorach pruskich nie odpowiada zasadom i wymogom nowego życia. Sięgnąłem do epoki, gdy wielka rewolucja francuska tworzyła wojsko, gdy wielki Napoleon swojemi czynami pisał swą nieśmiertelną epopeję wojny. System pruski tworzył kastę oficerską, oddzieloną murem chińskim od społeczeństwa, a przepaścią od żołnierza. Smutny los tej armji przyznał rację, że podstawą armji jest dusza prostego żołnierza. Dopóki dusza ta jest silna, armja wytrzymuje dolę i niedolę; gdy dusza ta się załamie — upadek armji jest nieuchronny. Dobrym oficerem jest ten, który w duszę żołnierską umie wpoić hart, by ona nawet w smutnych kolejach wojny, niepowodzeniach i porażkach, nie załamała się. Swoich oficerów uczyłem tej prawdy, co było tem trudniej, że byliśmy jak sierota wśród lasu, że otaczały nas armje na innych metodach i innych wzorach budowane i utrzymywane. Mówiąc o roli żołnierza i o jego znaczeniu, nie chcę tu mówić o demokratyczności armji; armja musi być przesiąknięta wolą indywidualną i jako taka organizacyjnie demokratyczną być nie może. Armja jest wtedy demokratyczną, gdy ma nad sobą rząd demokratyczny.

Mówiąc o żołnierzu, nie unoszę się sentymentem, który liczy ofiary, poniesione obficie przez żołnierza szarego, o nieznanym imionach, podczas, gdy tryumf i sława spada na wodzów; mówię o żołnierzu, jako

naturalnej podstawie każdej zdrowej armji, mówię o duszy żołnierza, od której zależy wolne państwo i honor armji.

Zwyczajem, który panował w jednostkach dowodzonych przeze mnie przy wielkich świętach żołnierskich, po pierwszym toaście, wzniesionym na cześć przełożonych, nastąpił toast poświęcony żołnierzowi.

Dziś, gdy święcimy dzień wielki, czułbym się obco, gdybym nie wznosił toastu: „Polski żołnierz niech żyje!”

(Przemówienie Wodza Naczelnego na bankiecie oficerskim w piątą rocznicę dnia 6-go sierpnia. — 1919 r.)

— Cóż Pan chce? — zapytał.

— Ja, Komendancie?... Nic, tylko, że tu idzie o gwiazdkę dla dzieci kresowych. Jestem mazur i nie znam tych rzeczy, ale Komendant sam jest dzieckiem kresów... Więc żeby Komendant opowiedział dzieciom na gwiazdkę.

— Ja? — nastraszył się, brwi tak ściągnął, że mu się nad oczyma u góry w malutkiego jeża zebrały. — A coż Pan chce, żebym im powiedział? No, nic... ale... Może mam powiedzieć, jak mi bony nigdzie chodząc nie pozwalały? Jedna francuska, a druga niemka! Bo to w zimie chodzić samemu na własną rękę...

— A co Komendant sobie myślał jako mały chłopiec?

— Com wtedy myślał? Myślałem, jak będę miał lat czternaście, — czternaście lat uważałem za ostateczną granicę dojrzałości — myślałem, że jak będę miał lat czternaście, to świat do góry nogami wywrócę, a zacznę się to od powstania...

— A co Komendant dostawał na gwiazdkę?

— Nie chcę wam tego napewno powiedzieć — ale, jakbym widział, że mu się pod wąsami uśmiech zaczął. Znów ściągnął brwi i powiada:

— Przeważnie książki. Nie zawsze mi to było miło, ale ponieważ wśród rodzeństwa uchodziłem za „uczonego”, więc trzeba było honor podtrzymywać. Tak jest, uchodziłem za uczonego i prowodyra. I dlatego zawsze byłem wszystkiemu winien, co kto gdzie zrobił — zawsze Ziuk winien.

— To znaczy, że Komendanta w dzieciństwie nazywano Ziukiem.

— I nawet jak wiedzieli — powiada — że nie ja, a ktoś inny, to tak się nazywało: Ziuk go do tego namówił...

— A czy tam na Kresach, Komendancie, Boże Narodzenie i Wilja odbywa się tak jak u nas?

Poprawił się na krześle, przymrużył oczy, że tylko wązkie skraweczki niebieskie między rzęsami widniały, potem się zrobił srog i dumny.

— Proszę Pana — rzekł w końcu, a słowa te jeszcze się szersze wydęły, bo szły przez wąsy, razem z dymem papierosa — proszę Pana, u nas gwiazdka, to ogromna historja. Pan wie ile na Litwie musi być potraw na wilję?! Piętnaście! Ile gatunków ryb? Gatunków ryb musi być pięć!

— To Komendant łasował! — zawołałem z radością.



Gwiazdka u Beliniaków 1915 r.

— Tak jest! — odpowiedział otwarcie. — A widzisz Pan, teraz sobie istotnie przypominam jedną historję z czasów gwiazdki, kiedym był dzieckiem. U nas wtedy na Litwie, bo to były czasy po Murawjewie, jeździli urzędnicy rosyjscy, których nazywano asesorami. Wszystko się ich okrutnie bało. Jeździli oni, czy zimą, czy latem, z dzwonkami przy uprzęży. Słyszysz taki dzwonek na drodze i już wiesz — asesor jedzie... Takim asesorem straszono u nas w domu naszego młodszego brata Ziunka.

Zdaje się, że Komendant powiedział Ziunka, niedobrze dosłyszałem, a nie śmiałem się pytać.

— Otóż mój młodszy braciszek, Ziuniek, bardzo się bał tego ase-

sora. Gdy tylko był niegrzeczny, zaraz mu mówili — przyjedzie Moskał assesor, który chowa dzieci do worka i je pożera. — Tymczasem jest gwiazdka. Już się zbliża ta chwila, gdy się wilja kończy i na dany znak kuchcik zaczyna bić tłuczkiem w mózdzież i dzwoni. Ziuniek przestraszony, słyszy dzwonek tak blisko! Więc już na nikogo nie patrzy, tylko odrazu — buch pod łóżko! Dopiero go musiałem stamtąd wyciągnąć i zaniósłem do gwiazdki, — drzwi do salonu otwarte i drzewko się świeci...

*(Z rozmowy z Kadenem-Bandroroskim o „Gwiazdce”
w grudniu 1919 r.)*

Wszystkie te błędy i wady w organizacji wojska, jakie tutaj wymieniano, znam; znam tych wad daleko więcej; nigdzie na świecie doskonałej armji nie stworzono w ciągu dwóch lat. Największy błąd jest ten, że jesteśmy bici. Znając wady w organizacji swego wojska, jednocześnie wiem, że tylko z tem wojskiem, jakim ono jest, z jego wszystkimi wadami mogę i muszę zwyciężyć, gdyż innego wojska nikt mi nie da.

Zwycięstwo w trzech czwartych zależy od siły i podstawy moralnej wojska i społeczeństwa, a w jednej czwartej od przygotowania pod względem technicznym.

Od was, polityków, i od narodu powinien iść do wojska walczącego na froncie głos wiary i otuchy, odpowiadający moralnej wartości społeczeństwa i jego niezłomnej woli zwycięstwa. Zamiast tego dajecie demoralizujący obraz waśni, kłótni i rozdarcia. Generałowie, wygrywani przez polityków, nie potrafią służyć i słuchać, a natomiast intrygują i frondują. Chwila jest wyjątkowo groźna, niema czasu do stracenia: stoicie nad przepaścią i już jutro może zaczniecie się wyrzynać. Nie wiem, jakimi słowami mam was przekonywać, aby was natchnął duchem pojednania i skłonił do zgody.

Jeżeli potrzebna jest do tego moja śmierć, to gotowym sobie w łeb wypalić, abyście zrozumieli, że to jest już ostatnia chwila do ratunku, że musicie się zjednoczyć i dać temu wyraz w stworzeniu silnego rządu.

Ja wiem, co mam robić, ja mam plan, lecz nie narzucam się wam ze swoim planem. Jestem w ogniu rozmaitych oskarżeń, mnie samego bierze obrzydzenie do państwa, które ma tak traktowanego swego najwyższego przedstawiciela. Nie róbcie żadnych szopek, żadnych dwuznacz-

nych posunięć z dodawaniem mi opiekunów i kontrolerów. Oddaję się wam do dyspozycji. Weźcie zamiast mnie kogoś mniej drażniącego. Jeżeli go postawicie na czele państwa i wojska, nie róbcie z nim tego, coście robili ze mną; dajcie mu bezwzględne zaufanie i szczere, gorliwe poparcie. Nie róbcie igraszek z najwyższą władzą!

(Z przem. 19 lipca 1920 r. na posiedzeniu Rady Obr. Państwa).

ŻOŁNIERZE !

Pięćdziesiąt lat temu Ojcowie nasi rozpoczęli walkę o niepodległość Ojczyzny. Szli nie w lśniących mundurach, lecz w łachmanach i boso, nie w przepychu techniki, lecz ze strzelbami myśliwskimi i kosami na armaty i karabiny. Prowadzili wojnę rok cały, pozostając, jako żołnierze, niedoścignionym ideałem zapалу, ofiarności i trwania w nierównej walce, w warunkach fizycznych jak najcięższych.

Przegrali wojnę i po ich klęsce niewola wciskać się poczęła do dusz polskich, czyniąc z Polaków nie wolników z musu, lecz nieledwie z własnej chęci, szukających poprawy losu przez protekcję u swych panów rozbiorców i wogóle obcych. Jako żołnierze i obrońcy Ojczyzny zostali w Polsce usunięci przez swych współczesnych gdzieś w kąt daleki, jako rzecz, o której zapomnieć należy.

Dla nas, żołnierzy wolnej Polski, powstańcy 63 roku są i pozostaną ostatnimi żołnierzami Polski, walczącymi o swą swobodę, pozostaną wzorem wielu cnót żołnierskich, które naśladować będziemy.

Dla uczczenia ich i upamiętnienia roku 63 w szeregach Armji Polskiej, wydałem rozkaz zaliczenia do szeregów Wojska wszystkich weteranów 63 roku z prawem noszenia mundurów Wojsk Polskich w dni uroczyste. Witam ich tym rozkazem, jako naszych Ojców i Kolegów.

Rozkaz przeczytać przed frontem kompanji, szwadronów, baterji i zakładów.

Belweder, dnia 21. stycznia 1919 r.

J. Piłsudski
Wódz Naczelny.



Marszałek Piłsudski dekoruje powstańców z 1863 r.

Wcześniej też w moim życiu, może przez przekorność mojej natury, ciągnęło mnie do prób rozwiązania tej dziwnej dla mnie sprzeczności, jaka istniała w stosunku do wypadków 63 r. W najdrobniejszym zakątku życia społecznego Polski, w każdej kwestji poważniejszej, gdym ją chciał badać genetycznie, znajdowałem olbrzymi wpływ wypadków 63 r. Tymczasem w odpowiedziach rzucanych o tych wydarzeniach, spotykałem zawsze z wyjątkiem bardzo nielicznym, tę potworną sprzeczność legendy, wyznawaną publicznie. Niekiedy w odpowiedziach brzmiała jakaś niema trwoga, która mi mówiła: „nie pytaj, jest to szlachetne i piękne, ale zarazem i głupie, nienawistnie przeklęte i tak już oczywiście niepraktyczne”. Sąd ten, tak powszechny, pozostawił swój głęboki ślad nie tylko w duszy tych, którzy nie byli świadkami powstania, lecz i w duszy wielu uczestników walk tej epoki. Spotkałem ich jeszcze w wielkiej ilości na wygnaniu na Syberji, spotkałem ich i potem, i nieraz wyczuwałem w nich wyraźną niechęć do rozmów na temat powstania, często jakąś nieuleczalną gorycz w stosunku do samych siebie, a jeszcze bardziej w stosunku do nas, nowego po nich pokolenia. Niechże te moje głębokie przeżycia w związku z wypadkami 63 r., przeżycia, które wzniciły we mnie namiętą potrzebę poszukiwania prawdy, usprawiedliwią w oczach czytelnika odbicie tej namiętności, którą może odczuje w słowach i określeniach mojego odczytu. I niech na podstawie sugestji i legend powstaniowych nie zechce z góry przesądzać, że to co jest odczute, jest z zasady nierozumne lub nierozsądne.

(Z odczytu „Rok 1863” w 1924 r.)

MOI PANOWIE !

Dzień wprowadzenia w życie orderu „Virtuti Militari” związałem z dniem wybuchu powstania styczniowego. Zrobiłem to rozmyślnie, a to dlatego, aby związać życie nowoczesnego żołnierza Polski ze wszystkimi walkami przeszłości, które dla Jej swobody toczono.

Lecz poza tem, gdy mowa o 63-cim roku nie mogę i nie chcę się powstrzymać od wypowiedzenia kilku uwag, złączonych do pewnego stopnia z moimi personalnymi przeżyciami.

Jeden z naszych wielkich poetów, mówiąc o Polsce porzobiorowej,

twierdził, że myśmy z „Twego nazwiska zrobili pacierz, co płacze i piorun, co błyska”. Zachowując cały szacunek dla pacierza, czy wtedy gdy płacze, czy wtedy gdy błaga, rozumiem, jak i Wy zapewne, panowie, że rzeczą właśnie żołnierza jest stworzyć dla Ojczyzny piorun, co błyska, a gdy trzeba — uderzy.

Gdy myślę jako żołnierz, nawet pomijając wszelkie uczucia patryjotyczne, muszę schylić czoło przed olbrzymim żołnierskim wysiłkiem ludzi 63-go roku. Źle uzbrojeni, źle wyżywieni, wytrzymali półtora roku, walcząc jako żołnierze z olbrzymiem, potężnym wówczas państwem. Walczyli nieraz nawet bez nadziei zwycięstwa. Pomyślcie więc panowie jako żołnierze, czy nie jest to dowodem wielkiej mocy moralnej i wielkiej tęczy żołnierskiej.

Przyszła na nich co prawda klęska, lecz to wydarzyć się może w każdej wojnie, przytrafić się może każdemu wojującemu. Lecz dla tych żołnierzy w sądzie narodu, którego bronili, przyszła klęska głębsza, bo klęska moralna. Ze słów poety o „pacierzu co płacze i piorunie co błyska” w udziale zostawiono im w najlepszym razie tylko ten pacierz, co płacze. W najgorszym wolę nie mówić tu o sądzie. Piorun, co błyska został im odmówiony, zostawiono go jeszcze w spokoju w dziecinnych główkach, pozwolono nań patrzeć tylko dziecięcym naiwnym oczątom. Naród zrzucił z siebie pamięć żołnierskiej pracy 63-go roku, tak, jak to dziecko, spieszące do zrzucenia króciutkich chłopięcych spodenek.

Rozumiem dobrze, starzy koledzy, ile się goryczy nieraz w waszych sercach zbierało: może pociechą wam będzie, że byli nieszczęśliwsi od was, ci, którzy wam zazdrościli. Należałem do ich liczby, gdy nastąpiły po waszej klęsce ciężkie czasy niewoli nie tylko fizycznej, ale i duchowej. Zdawało mi się często, że szczęście powstania wiosny, które dotąd miało każde pokolenie Polski, moje pokolenie ominie. I wtedy nieraz zmęczony dzikimi warunkami podziemnej walki, zazdrościłem wam gorąco szczęścia walki oko w oko, pierś w pierś z wrogiem. Przyjemnie mi więc dzisiaj, w dniach tryumfu, widzieć pośród nas, jako zasłużonych kolegów w pracy nad piorunem, co błyska i uderza.

Moi Panowie! Obchodzimy dziś uroczystość wprowadzenia orderu „Virtuti Militari”. Na znaku tym, który nosimy na piersiach, wypisane jest hasło: cnocie wojskowej. Cnota, moi panowie, jest wartością moralną o charakterze najzupełniej bezosobowym, o charakterze bezambicyjnym, o charakterze, który z góry wypuszcza poddanie się nikomu człowieka tej wartości, którą cnota wyobraża. Jeśli w napisie podany

jest napis: wojskowej, to tylko dlatego, że wysokie napięcie moralne wymaganem jest w czasach wyjątkowych, w czasach wojny. Jest to czas, kiedy człowiek, przyodziany w mundur żołnierza, chodzić pod ręką musi, jak z damą swego serca, ze śmiercią. Jest to czas, gdy taki człowiek ciągnąć musi galkę czarną, co oznacza dla niego śmierć, kalectwo, chorobę, lub białą, co dla niego oznacza zdrowie i życie. Służyć tylko cnocie potrafi niewielu. Dlatego też na odwrotnej stronie naszej odznaki wypisane jest ułatwienie tej służby, w postaci słowa „honor”. Honor, jak ktoś się dowcipnie wyraził jest surogatem cnoty, jest pozwoleniem na posiadanie ambicji na wniesienie do służby całego mnóstwa cech indywidualnych. Lecz nie szukajmy przytem tego, by zrobić honor



Kapituła Orderu „Virtuti Militari” w dniu 22 stycznia 1920 r.

fachowym. Nie szukajmy obstawiania go mnóstwem artykułików i formalności za którymi ginie cała treść honoru. Honor nasz powinien polegać na służbie, komu zaś służymy, to wypisane jest w ostatnim słowie naszej odznaki. Służymy Ojczyźnie, a służba jest niczem innym, jak słuchaniem praw, przez ojczyznę, dla ojczyzny ustanowionych.

Jako najstarszy Kawaler Orderu „Virtuti Militari”, i jako Naczelný Wódz armji naszej, wznoszę kielich na cześć Tej, w której służbie cnotliwie i honorowo dotrwać mamy.

Niech żyje Rzeczpospolita Polska!”.

(Do kawalerów orderu „Virtuti Militari” Styczeń 1920)

Jestem żołnierzem i dobrym żołnierzem: gdyby ktoś mi odmawiał pod tym względem kwalifikacji, nie bałbym się sędziów, gdyż za mną przemawiają rzeczy dokonane, jakich nikt dotąd nie zrobił: z niewyćwiczonym żołnierzem i zmęczonym oficerem nikt tylu bitew nie wygrał. Natomiast w dziedzinie mi obcej stoję ze czcią przed tymi, którzy stoją wyżej odemnie. Jestem dumny z uznania z ich strony i tem większą wagę przywiązuję do udzielonego mi odznaczenia.

(Z przem. w Krakowie 1921 r. w czasie wręczenia dyplomu dokt.)

Mdnia swej samotności przymusowej w Magdeburgu, nieraz przechodziłem myślami całe potępięcze życie tego pokolenia, do którego należałem. Wstyd, niemoc, hańba niewoli — były to rzeczy trudne do zniesienia i oto, jak jutrzienka nowego dnia, zabłysło zwycięstwo, zwycięstwo nie naszych wysiłków, nie naszych prac. Pamiętam, gdy w Magdeburgu czytał warunki zawieszenia broni, z wielkiem przerażeniem stwierdziłem, że Polska jest w tem zawieszeniu pominięta i pozostaje narazie w tych samych warunkach. Pamiętam, gdy jechał już do Warszawy, przykładając głowę do poduszki, myślałem zadając sobie pytanie: czy w chwili, gdy wrogowie są tak słabi, nie znajdzie się w Polsce dość silnego rozpędu wiosnianego, aby dokonać oswobodzenia kraju od wroga?

Ziściły się moje nadzieje! Wszędzie jak Polska szeroka i długa z najodleglejszych zakątków odezwało się hasło wyzwolenia. Wrogów mieliśmy wszędzie. Przyzwyczaili się oni być naszymi panami, ale zagrzmiały strzały wszędzie. W różnych stronach zakwitły te krwawe róże krwi własnej, zdobiąc bruki i bezlistne drzewa. Ów dzień, którego rocznicę dziś obchodzimy, zawitał do was z tą wiosną. Dzień ten wiosniany był rozpędem życia, które nie mogło już dłużej znosić poprzedniej niewoli. I był on, ten dzień wiosniany, zakończeniem tej epoki powstańczej, tej wiosny w życiu pokoleń, po której następowały dla nich długie noce niewolniczego życia. Myśmy wyciągnęli szczęśliwy los pomiędzy pokoleniami polskimi, albowiem nasza wiosna kończy się swobodą.

(Mowa w Poznaniu w grudniu 1921 r.)

Panie Prezydencie Rzeczypospolitej, czuję się niezwykle szczęśliwym, że pierwszy w Polsce mam wysoki zaszczyt podejmowania w moim jeszcze domu i w otoczeniu mojej jeszcze rodziny pierwszego obywatela Rzeczypospolitej Polskiej. Panie Prezydencie! Jako jedyny oficer polski służby czynnej, który dotąd nigdy przed nikim nie stawał na baczność, stoję oto na baczność przed Polską, którą Ty reprezentujesz, wznosząc toast: Pierwszy Prezydent Rzeczypospolitej niech żyje!.

(Po odebraniu władzy przez śp. Prezydenta Narutowicza 1922 r.)

Wrażenia te, wrażenie zwłaszcza zeznania zabójcy, że chciał właściwie zamordować mnie, jest podwójne. Przedewszystkiem uczucie bardzo bolesne, że za mnie zginąć miał kto inny, przyjaciel, ale poza tem uderza mnie ten fakt aberacji moralnej, polegającej na zrzuconiu z taką łatwością odpowiedzialności personalnej z jednej osoby na drugą. Jeśli ja mam być tak odpowiedzialny, że ktoś uważa za swoje prawo strzelać do mnie to uważam to za niezgodne z duchem naszej rasy zastrzelić kogoś innego i nie wstydzić się tego, chociaż tamtą nie dźwiga na sobie odpowiedzialności. To jest duch Wschodu. Czy ta moje uczynki kto nie zastrzelił mi córki, czy ona ma odpowiadać za ojca? Ta aberacja należy do szeregu zjawisk, które obserwowałem z pewnem przerażeniem przez 4 lata na stanowisku Naczelnika Państwa, gdzie się wiele widzi i ma się czas nad wielu rzeczami rozmyślać. Dla ludzi zwłaszcza tego zaboru wpływ Wschodu był fatalny. Nie chcę tego Wschodu poniżać, przedstawia on swoją własną kulturę, nie mówię, żeby była od naszej gorsza, ale jest inna. W swej pogoni za absolutem wyklucza indywidualność. Takich stygmatów Wschodu jest u nas mnóstwo. Co do samego faktu muszę powiedzieć: żałuję, że Niewiadomski nie napisał do mnie. Byłbym z pewnością przyjechał do Baryczków po tę polską kulę: zgodnie z mojem szczęściem byłaby mnie pewnie ominęła, ale w zbiorze kul do mnie zmierzonych byłaby jedyną narodową kulą polską. Śmierć Narutowicza jest w tych warunkach dla mnie tem smutniejsza, że był to przyjaciel, którego nie chciałem narażać nawet na pracę, która go czekała na jego stanowisku, a narażę na śmierć niezasłużoną.

(Z interwju 1922 r.)

Przypominam sobie legjonistę, który swą krwią i pracą doszedł do dowodzenia pułkiem. Zmarł on na udar serca, bez możliwości zaopatrzenia wdowie i sierotom, jak większość legjonistów. Nie znaleziono dla nich innego rodzaju pomocy, jak „dar łaski“. Ja sam ten papier o darze z łaski dla wdowy i dzieci zmarłego żołnierza musiałem podpisywać. Wtedy powiedziałem sobie, że gdyby miano mi wyznaczyć pensję, to odmówię jej przyjęcia, bo ja na pensję w Polsce nie pracowałem, bo na pensję w Polsce nie zasłużyłem. Żadnemu z zaborczych państw nie służyłem, tym się pensję daje za wysłużone lata.

(Z przemówienia we Lwowie 1923 r.)

Mochani Koledzy! Gdy przysłuchacie do mnie wspomnieć razem ze mną dzień — jak poetycznie wyrazić Waszych uczuć to nazwał — „zaślubin moich z Państwem Polskim“, nie mogę nie być wzruszonym, a względem Was wszystkich — niezmiernie wdzięcznym. Miłe drogim nam wszystkie czasy, miłe, lecz połączone z wielkim ciężarem duszy.

Gdym wracając z więzienia niemieckiego w pociągu z Berlina do Warszawy w takt turkotu wagonu powtarzał sobie: „Do Polski! do Polski!“ — wiem, że również prawie wszyscy tu zebrani mieliście i przeżyliście taką chwilę gdy marzyliście i śniliście, jak ja, że jedziecie do raju. Było to świadectwem jednego zjawiska, zjawiska, o którym przemyślałem pamiętnej mi zawsze nocy w wagonie.

Tyleśmy wszyscy przeboleli i tak przemęczyli swe dusze, zgniecione cieniem mrocznej bezsilności w dobie po ostatnim powstaniu narodu, że, gdy chwila odrodzenia przyszła — a przyszła jednak nagle i niespodziewanie — zdawało mi się, że na straży tego odrodzenia stoją wielkie dusze z epoki dawnej mocy Rzeczypospolitej i z mniej dawnych porywów do odrodzenia, które umiały ślady naszego bytowania w świecie ongiś znaczyć nietylko dziełem miecza, lecz i wielką kulturą, szanowaną ongiś na świecie całym.

Zdawało mi się także, że gdy idzie Odrodzenie Bytu Państwowego, o którym zaledwie zdołaliśmy marzyć w ciszy, — musi z tem formalnem odrodzeniem iść odrodzenie duszy Polaka, duszy odrodzonej dla dania siły i mocy przy konieczności przetrwania i przewalczenia początków naszego życia.

Chciałem więc wierzyć mocy własnej naszej Polskiej Duszy, chciałem ufać, że zdołam zapomnieć o zawodach przeszłości i skrzepić siebie samego, widząc, jak słońce stapia lody duszy — zdawałoby się — już niezdanej do życia i że Dusza Polska rozbłyśnie dawnym pięknem. Lecz i pan, generale, w swem przemówieniu dotknął prawdy, że tak Wy, jak i ja w raju Odrodzenia spotkałem nowe zawody, gdym jak pan mówi — został „niepisanym dyktatorem Polski“. Było to jakby odpowiedzią na podszepty zwątpień, które dusiłem w sobie, gdy przemyślałem swą rolę i życie, jadąc z Magdeburga do Polski.

Rozum bowiem i rozważa nakazywały mi myśleć nietylko sentymentalnie, a mówiły mi, że życie tak łatwe nie jest, jak myśl ludzka



„Mała Ułina“ w Sulejówku

i jak bicie gorączkowe serca. I nie wiem, czy Wy, gdyście swe wiernie głowy żołnierza przy błysku wiernych szabel nieśli pod kosę śmierci, dając świadectwo odrodzonej Duszy Polskiej, — myśleliście wtedy razem ze mną. Musiałem bowiem, jak każdy naczelny wódz, rachować i kalkulować nietylko szable i bagnety, nietylko wierne Wasze ręce i głowy — lecz i siłę tych, co w rękach szabel nie mieli i żyli nie Waszemi, w polu, głowami, i pracowali nie Waszemi, zbrojnemi w stal, rękami. I nie wiem, czyście kiedy dłużej — zajęci swą pracą — rachowali i kalkulowali siłę i moc całego państwa.

Pozostałem wierny swej sentymentalnej ufności w moc odrodzenia Duszy Polskiej przez czas cały, gdy musiałem się trzymać jednej i tej samej linii wytycznej, jako reprezentant całego państwa, który reprezentować musi nie tylko piękno, lecz i brudy, nie tylko siłę, lecz i tchórzliwą bezsilność, nie tylko cnotę, lecz i zbrodnię. I wy — wierne druhy miecza w walce — nie myśleliście wtedy, że swoboda bezsilnego i zdziętego często w niewoli narodu daje jako skutek — nadużycie tej swobody nie tylko w tem, co jest uniesieniem i przesadą uczuć wyższych, lecz i przesadą i nadmiarem tego, co jest grzechem przeciw Odrodzeniu i pospolitem a poziomem przestępstwem.

I gdy nieraz w bólach zawodu i mękach upokorzenia sentymentalnie miecz sprawiedliwości na haku zawieszałem, chcąc by siła moralna cnoty i kultury duszy bez gwałtu leczyła rany niewoli — byłem wciąż wierny błyskowi odrodzenia, co mi duszę w pierszych dniach Polski rozświecił. I teraz — gdy razem z wami obchodzę siódmą rocznicę zaślubin naszych z szablą już polską, z wami, coście umieli w przeżyciach bojów być wiernymi tym błyskom — nieraz w wątpieniach, już tyczących się historii — sądzę, iż bezsilność państwu daje ten, co karzącą dłoń sprawiedliwości zatrzymuje, a ucziwają i honorową pracę dla państwa przez to conajmniej osłabia, jeśli nie demoralizuje.

Pozwólcie panowie, że zakończę tym razem słowami jednego z was, którego tu widzę: „honor, to Bóg wojska — niemasz go, kruszeje potęga wojska”.

Staralem się w obecnym kryzysie, poprzez jaki przechodzi państwo stanąć, w inny może sposób, w obronie tej zasady, przed Prezydentem Rzeczypospolitej, dając wyraz konieczności ochrony honorów naszych dziejów, honoru naszej sławy i honoru naszej pracy. Dziękując panom za pamięć o mnie, proszę zawsze o współpracę pomiędzy sobą dla takiej ochrony w drogiej nam wszystkim służbie dla Ojczyzny.

(Przemówienie w Sulejówku w listopadzie 1925 r.)



Byłem Naczelnikiem Państwa i zdołałem w r. 1918 zapewnić spokój i wzrastanie państwa mimo powszechnego zatracania się w powodzi zjawisk, wobec których zdzięzałe w tchórzostwie i upokorzeniu niewoli społeczeństwo wyglądało tak, jak gdyby drżało przed samem istnieniem Polski, jako Państwa niepodległego. Zdołałem otoczyć sztandary nasze tak wielkimi zwycięstwami, jakich nawet pradiadowie nie znali i dokonałem tego wówczas, gdy to samo tchórzostwo czyniło orla białego żółtym ze strachu. Dosyć przypomnieć Spa, któremu zaprzeczyłem zwycięstwami, i niecną jazdę do głównej kwatery nieprzyjaciela podczas zagrożenia stolicy. Wreszcie wbrew zwyczajom polskim potrafiłem odchodząc, z powodów politycznych, od pracy państwowej, nie żądać nic od ubogiego państwa, a zapewnić sobie i swojej rodzinie życie własną pracą. Rozumiem dobrze, że nad takim człowiekiem, nie łatwo przejść do porządku, dopóki jeszcze oddycha i żyje. Lecz nigdy nie rozumiałem i nie rozumiem braku odwagi cywilnej u ludzi, którzy gotowi są zawsze zapewniać, że o powrocie moim do pracy państwowej tylko marzą, robiąc przytem, jak małe pieski, wszystkie możliwe, małe, drobne, nikczemne obrazy, w rodzaju komisji historycznej z falszowaniem dokumentami, w rodzaju prób dyskusowania stale o mnie bezemnie, jakby dla dogodzenia i satysfakcjonowania mnie.

(Oświadczenie w lutym 1926 r.)

Wyrzekłem się tak łatwo w okrzykach formy, jak dyktatura jednego człowieka. Zrobiłem to jednak z całą rozwagą i świadomą decyzją, pomimo, że ufam swoim siłom i swojej wewnętrznej wartości. Zrobiłem to zaś dlatego, żeby odzwyczajono się u nas w Polsce zwać spokojnie wszystko na jednego człowieka, dając mu potem niechętną pomoc, bez dania codziennej solidnej pracy wielkiej ilości ludzi, niezbędnej dla zreformowania przyzwyczajęń, tak silnie zresztą krytykowanych w całym aparacie państwowym”.

(Wywiad w „Kurjerze Porannym” z dnia 25 maja 1926 r.)



Na moście Poniatowskiego w maju 1926 r.

Stare to zamczysko mówi nam, jak śmierć i życie splatały się z sobą w pracy nad temi murami. Miałem adjutanta, który z tego pochodził gniazda i niewątpliwie duch Stanisława Radziwiłła jest z nami, gdy tu bawi jego wódz naczelny. Ani mnie to przeraża, ani dziwi. Dziś chcę jego wspomnieć nie jako umarłego, lecz jako żywego. Rycerska prawda tego domu uosobiła się w nim. Duma wielkiego domu, który tak dawno przeszłości naszej służył zlały się w nim z wierną i twardą służbą żołnierza. Dom Radziwiłłów dał nam w przeszłości ludzi, co w służbie państwa zasłynęli czy na polach bitew czy w radach senatorów.

(Przemówienie w październiku 1927 r.)



Marszałek Piłsudski w kapticy na zamku w Nieświeżu podczas nabożeństwa za duszę poległego adjutanta śp. Rotm. Stanisława Radziwiłła

Przemawiam w 13-tą rocznicę wymarszu z Krakowa; w 13-tą rocznicę naszych urodzin. Jesteśmy już prawie popdłotkami i mamy prawo mieć pamięć przeżyć, gromadzonych przez tak długie lata. Gdy myślałem nad temi przeżyciami, doszedłem do wniosku, że niedostatecznie jeszcze w swych przemówieniach legjonowych podkreślił jedną wielką prawdę naszego istnienia i naszej pracy. Niema już żadnej wątpliwości co do faktu historycznego, który starałem się w poprzednich odczytach nieraz wyjaśnić, a mianowicie: w 1914 r., kiedy na świecie wybuchła wojna i kiedy ludzie szli przelewać strumieniami i potokami krew dla takich czy innych celów, — między temi celami nie było celu polskiego. Nikt o Polskę, jako o Polskę, krwi przelewać nie chciał i nie dążył do tego w swych celach politycznych, aby dla Polski cokolwiek bądź stało się innego, prócz tego, co było i przed wojną. My, jako legjoniści, zrobiliśmy wstęp do możliwości przelania krwi za Polskę. Poszliśmy niewielką garścią ludzi, tem się różniąc od wszystkich innych, że ten niewielki strumień krwi, któryśmy mogli przelać, chcieliśmy dać dla Polski. Nie dla kogo innego, a jedynie dla Polski. To nasza palma pierwszeństwa dla pracy dla Ojczyzny naszej.

Mieliśmy więc tę palmę pierwszeństwa. Staraliśmy się pokazać naszym rodakom, że jest rzeczą rozsądną i rozsądną przelewać krew dla siebie, nie dla kogo innego. Ta palma pierwszeństwa jest naszą cechą historyczną.

* * *

Przy tej palmie pierwszeństwa, którą my w stosunku do prawa przelewania krwi, tylko za Polskę, a nie za co innego mamy, to znajdę zaraz i inną cechę, która bardzo nieśmiało i bardzo powoli zaczyna nam sekundować. Jest to prawda Polski, którą spotykało się po wsiach, czy po dworach, czy miasteczkach, gdyż mieliśmy to szczęście, w porównaniu z legjonami innymi w naszej historii, że walczyliśmy na własnej naszej ziemi, a ani zagranicę Rzeczypospolitej nie wyszliśmy. Mieliśmy więc stale otoczenie to, które i teraz w Polsce istnieje, tę samą polską ludność. Jeżeli przypominam sobie swe wrażenie w ciągłych marszach i przemarszach przez najróżniejsze części Polski, jeżeli zestawię swoje wrażenie od roku 1914 — 1916, kiedy nasze marsze się skończyły, to znajdę zawsze rosnącą, zawsze narastającą, prawdę, że coraz mniej byliśmy obcy dla swoich, coraz więcej zyskiwaliśmy sym-



patji i coraz więcej humoru. Szło to tak powoli, że ręczą, iż niejedyn z Was w nocy z tej przyczyny cichą łzę przelewał. Nazywano Was żołnierzami bez Ojczyzny, trawestując prawdę Żeromskiego o dawnych legionistach, których nazywał żołnierzami — tułaczami. I gdy sobie przypomnę rozumowania, z którymi się spotykałem, narastające szeptu, podawane naszym uszom, to znajdę zawsze skromność polską, która bała się wszystkiego prócz łzy, prócz cichego rozczerwienia z powodu spotkania się z obrazkiem, który się znało, na który się patrzyło, zakrywając książeczkę ze strachu. Mundury, specjalnie rabat ułański, wysokie czako, to było to, o czym się śniło, o czym się bardzo szeptało.

Jeżeli przebiegnę te dwa lata, koniec roku 1914, 1915 i 1916, (ostatnie legionowe boje na Wołyniu), znajdę wzrastającą tę prawdę bardzo powoli, otaczającą nas niby nimbem bohaterstwa, nimbem szaleństwa, piękności jakiejś, nad którą łzy wylewać trzeba, że widzieć ją jeszcze można.

Mamy więc dwa towarzyszące nam zjawiska.

Idziemy, mając palmę pierszeństwa przelanej krwi za Polskę jedynie jako odludki i nieco upstrzeni ludzie. Obok zaś widzimy wzrastającą sentymentalną, lecz bardzo bezsilną prawdę bohaterstwa, nieco nierozumianego.

* * *

W całym naszym legionowym przeżyciu mamy palmę męczeństwa i pierwszeństwa, wziętą przez nas w okresie, gdy nikt o Polsce nie chciał myśleć. Palma męczeństwa przychodzi wtedy, gdy zaczynają myśleć o Polsce na świecie. Gdy Polska staje się wartością, która ma jakąś cenę. Ja, jako reprezentant ówczesny Legionów, powędrowałem w świat do niemieckich więzień, a wielu z Was powędrowało do mniej wygodnych ubikacyj, gdyż ja byłem zawsze generałem i nie chciano mi robić zbyt wielkich przykrości, podczas gdy Was czekały gorsze rzeczy, jak Szczypiorna, Benjaminów i t. d.

Mnie tylko całkowicie izolowano od świata, abym nie mógł wywrzeć żadnego wpływu na nikogo. Sprawa Polski tymczasem urastała coraz bardziej, wyrastała, nie powiem, żeby przez nas Polaków, albowiem nie robiliśmy żadnych usiłowań, a przy tych powodziach krwi, które wylano wówczas na świecie, strumyczek krwi polskiej był rzekomo mały.

W dzikim chaosie, w jaki wpadłem po powrocie z Magdeburga w zamęcie sądów, myśli zdań ugrupowań rozbieżności były tak wielkie

i tak olbrzymie, że uważam to za jeden z cudów wielkiego talentu, że mogłem z tego chaosu wyprowadzić państwo na jakąś ścieżkę. Skarżymy się teraz na wielką ilość stronnictw. Cóż dopiero mówić o owych czasach, gdy na stronnictwo składało się 4-ch czy 5-ciu ludzi, znajdujących się w jakiejś knajpie. Chaos słów był tak wielki, że gdyby nie moja mocna głowa, doprawdy zwarzjowałbym po wysłuchaniu jednego dnia 50-ciu ludzi przeświadomych o swej wartości, nie poczuwających



się do żadnej siły, a żądający usłuchania ich recept zbawienia Polski, których sami nie byli pewni, odstępujących łatwo od każdego słowa, za to bardzo żarzcie zwalczających sąsiadów. Wiem, że wśród Panów znajdują się tacy, którzy mają do mnie pretensję, że z nimi za mało obcowałem w czasie ostatniego Zjazdu. Osądźcie jednak sytuację człowieka, który przeżył rok 1918, który wtedy po 20 godzin dziennie



Marszałek w Rumunii 1928 r.

rozmawiał z ludźmi, z jednym, z dwoma, dziesięcioma, nie mogąc żadnego pogodzić z drugim. nie mając możliwości postawić jednego obok drugiego dla współpracy.

Przeżycia moje, jako Naczelnika Państwa, w wielu rzeczach odskakują już od przeżyć moich, jako legionisty. Nie wątpię bowiem, że legjoniści trzymając palmę pierwszeństwa i palmę męczeństwa Polski, znaleźli bardzo wielu współtowarzyszy, współkolegów, bardzo wielu współpracowników. tak, że zaczęli tonąć, nie będąc dość liczni w masie, która — zgodnie z moimi oczekiwaniami — wraz z Państwem Polskiem wyrastała. Uczucie ulgi nieraz znalazłem w moich pracach i myślach, jako Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz myśląc o sile państwa w stosunku do zadań jakie wojna wysuwa: zadań szukania zwycięstwa.

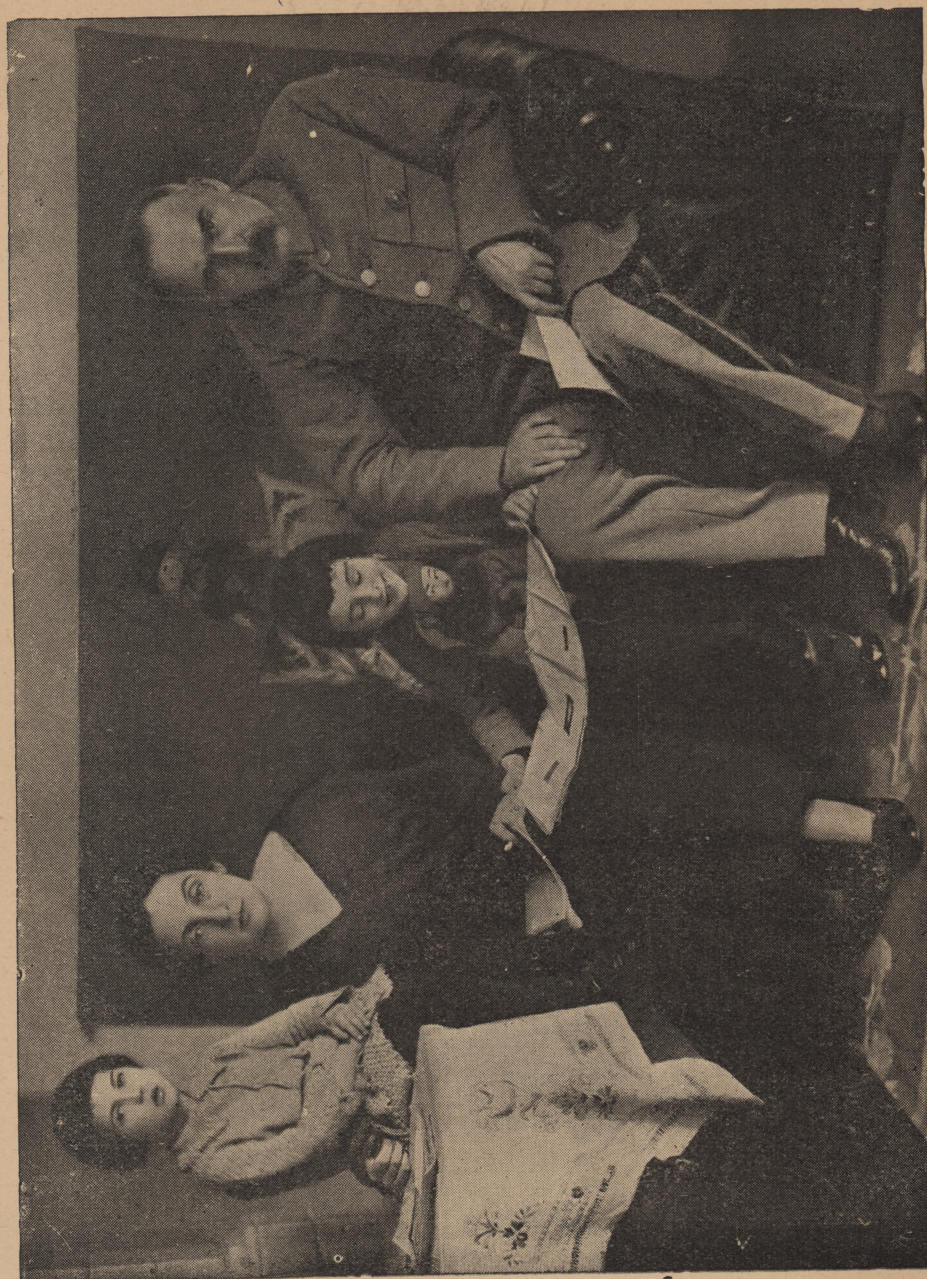
(Przemówienie w Kaliszu 1927 r.)



Z pobytu na wywczasach w Rumunii 1928 r. Marszałek Piłsudski rozmawia z dr. Skupiewskim.

Gdy siedział w Magdeburgu, istotnie stał nad głową kat. Nie byłem nigdy pewny życia. Był to jak grób zamknięty.

Izolowany byłem bardzo od świata i wtedy właśnie myślałem o miłem, co jak poduszka do trumny z człowiekiem idzie. Jedne z najmiłszych, jakie mam i jakie przeżyłem, jest Wilno, miasto moje rodzinne. I nieraz tam w Magdeburgu o Wilnie myślałem, do Wilna tęskniłem. Miłe miasto. Rzędem biegały mury, co mnie dzieckiem niegdyś pieściły, co kochać wielkość prawdy uczyły, miłe miasto z tylu, tylu przeżyciami. Miasto — symbol naszej wielkiej kultury państwowej ongiś potęgi. Dynastia Jagiellonów, co nad wieżyczkami Krakowa i wieżami Wilna potężnie niegdyś panowała. Wilno Stefana Batorego, co uniwersytet zakładał i mieczem nowe granice wybijał. Wielcy poeci i wieszczowie naród pieścili słowem i w czar zakuwanymi słowami życie narodowi dawali. Nie gdzieindziej, jak tu, w tej samej szkole, gdzie ja biegałem, w tych murach, pięknie wołających do Boga, uczyli się, jak ja kiedyś w przeklętej rosyjskiej szkole. Wszystko piękno w mej duszy przez Wilno pieszczone. Tu pierwsze słowa miłości, tu pierwsze słowa mądrości, tu wszystko, czem dziecko i młodzieniec żył w pieszczocie z murami i w pieszczocie z pagórkami. Jedno z najpiękniejszych miast w świecie. I biegły ku Wilnu pieszczotliwe myśli, tworząc same dla siebie pieściwe pieszczoty dzieła. Jedna z moich książek tam właśnie powstała, w murach Magdeburga. Czar, zakuty we wspomnieniach, urok odrodzenia, rzucony w szale Wam niegdyś — wszystko to razem składało się na marzenia człowieka co nie wie, czy jutro do grobu się nie położy. Minęło lat parę i byłem znowu z wami i gdy marzyłem i myślałem o Wilnie w warszawskim Belwederze zamknięty, myślałem także i o was i gdy w bój zawołałem, by Wilno zdobyć, was do siebie powołałem, marzyłem, sądziłem, że dwa serca zbratane dadzą mi to, o czem dusza marzyła. Wilno musi być moje! I jak wyście mi na to odpowiedzieli? Żywo pamiętam tę chwilę. Wilno w owym czasie, gdy Polska ledwie żyć poczyniała, gdy ze wszystkich stron żądano naszej ziemi, dłonie ku niej wyciągano, gdy bitwy na wszystkich ścianach Rzeczypospolitej i wojna trwała, gdy inne państwa już były spokojne, gdy działa u nas brzmiały, gdy tam spokoju już doznali, Wilno dalekie było od myśli i Wilno dalekie było od zajątkowania serc wszystkich. Wyście stanowili, najpewniejszego żołnierza, żołnierza, który mnie nigdy w wojnie nie zawiódł, który dał mi wszystko, co żołnierz wo-

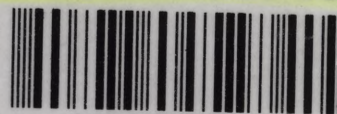


Wśród Swych Najbliższych

dzowi dać musi. Was powołałem. Szła wielkanocna pora, gdy bataljon
za bataljonem, szwadron za szwadronem do Wilna spieszyły. I szła po-
Wilna kochała wielkanoc

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 317403



000-317403-00-0